



Egz. archiwalny IBL

STANISŁAW SROKOWSKI

Z DZIKICH PÓL

WSPOMNIENIA Z ZIMY 1919/20 NA POŁUDNIU ROSJI



P O Z N A Ń * 1 9 2 6

NAKŁADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO T. A.

<http://rcin.org.pl>

STANISŁAW SROKOWSKI

Z DZIKICH PÓL

WSPOMNIENIA Z ZIMY 1919/20 NA POŁUDNIU ROSJI



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

P O Z N A Ń * 1 9 2 5

NAKLADEM I CZCIONKAMI DRUKARNI DZIENNIKA POZNAŃSKIEGO T. A.

<http://rcin.org.pl>



13.556

I.

Chaos rosyjskiej rewolucji. Potrzeba opieki konsularnej. W drodze do Odesy. Braki polskiej akcji rapatryjacyjnej.

W pierwszych dniach kwietnia 1919 r. zaszło w Odesie coś osobliwego. Bez dostatecznych, a przynajmniej widocznych powodów francuski generał D'Anzelm, komenderujący tam okupacyjnymi wojskami alianckimi, opuścił to miasto pod naciskiem stosunkowo nielicznej bolszewickiej bandy Grigoriewa i rzecz można w popłochu wycofał się na okręty i do Rumunii. Pociągnął on za sobą także znajdującą się przy nim dywizję generała Żeligowskiego, zlecając jej osłonę tyłów ¹⁾

Od kwietnia do sierpnia 1919 r. rządili Odesą bolszewicy. I znowu tak jak niespodziewanie dostała się im w ręce, tak samo została i straconą. Bez wielkiego wysiłku wojennego zajęły ją wojska t. zw. Rosyjskiej Armji Ochotniczej, generała Denikina.

Wiść o tem przyszła do Warszawy z początkiem września a wraz z nią i gorące błagania o pomoc ze strony licznych jeszcze kolonji polskich, jakie skupiały się w wielu miastach po

¹⁾ Według zgodnych opowiadań, jakie potem slyszalem w Odesie cofające się wojska polskie i oddziały rosyjskie ostrzelane zostały z zasadzki głównie przez żydów, którzy w nocy z dnia 3 na 4 kwietnia sformowali bolszewicki batalion żydowski. Zginęło podobno 3 oficerów polskich i pewna liczba żołnierzy, co znowu pociągnęło za sobą szereg represji wobec żydów ze strony dywizji zarówno w Odesie jak i w Owidiopolu.

ludnia Rosji, gdzieś daleko aż po stoki Kaukazu. Okres wojny, działalność różnych komitetów, zwłaszcza zaś Piotrogrodzkiego Pomocy Ofiarom Wojny, umocniły te ośrodki polskości organizacyjnie,²⁾ ogromna zaś masa nowych przybyszów, emigrantów z zachodu Polski, a także poruszających się względnie dość swobodnie jeńców polskich, liczebnie. Razem na południu Rosji dochodziła w tym czasie ludność polska może jakiego pół miliona

Za istnienia starego państwa rosyjskiego, a nawet w pierwszej fazie rewolucji, żywot owej licznej kolonii nie był najgorszy. Kwitł jeszcze przemysł, handel, pracowały banki, stowarzyszenia, szkoły. Stopniowo jednak wszystko zaczęło zanikać, a wraz z tem i z gwałtownem pogarszaniem się warunków bezpieczeństwa publicznego, zabagnieniem się komunikacji i wyczerpywaniem zapasów żywności, wreszcie niesłychanem dotąd rozszerzaniem się chorób zaraźliwych, zwłaszcza tyfusu plamistego, od którego marły nie tysiące, lecz krocie, jęło ludzi ogarniać coraz to silniejsze pragnienie wydobyć się z ciężkiej sytuacji i powrotu do Polski, wydającej się wówczas, zwłaszcza w perspektywie setek mil, czemś idealnie doskonałym. U wielu działały niemało pobudki jak najszlachetniejsze. Chcieli ujrzeć się w wolnej Ojczyźnie, o której marzyli całe życie, dla której niegdyś cierpieli i która w ich pojęciu potrzebowała te-

²⁾ Ta działalność, nawiasem mówiąc opierająca się przeważnie o środki dostarczane przez rząd rosyjski, wymaga głębszego zbadania jej form, dróg i rozmiarów. Choć trwała krótko przyczyniła się ona w wysokim stopniu do uświadomienia narodowego ogromnych zastępów polskiej ludności, która dotąd w głębi Rosji niezmiernie łatwo się wynaradawiała i wchodziła w skład społeczeństwa rosyjskiego. Tyczy się to nie tylko warstw robotniczych ale i inteligencji, wbrew tej opinii, jaka pod tym względem w kraju panowała.

raz sił i pracy wszystkich swych synów. Ludziom znowu wrosłym już głęboko w grunt rosyjski, przypomnially to wszystko rządy bolszewickie, które obecnie wprawdzie znikły, ustępując miejsca więcej europejsko wyglądającej soldatesce Denikina, niemniej jednak wstrząsnęły zbyt silnie nastrojem, aby nie pociągnąć za sobą jak najpoważniejszych refleksji. Na samą myśl możliwośći powrotu tych czasów, kiedy wychodząc rano na miasto spotykało się co krok trupa lub kałużę krwi ludzkiej, kiedy w nocy, raz wraz słyszane wystrzały zwiastowały jakieś krwawe egzekucje, kiedy rabunki, krzyki i pijatyki tworzyły atmosferę piekielnego rozpamiętania się najgorszych mętów społecznych, przejmował ludzi dreszcz trwogi.³⁾ Ci, którzy mieszkali na wsi, mieli przed oczyma jeszcze straszniejsze chwile podniesienia się czerni, niszczącej, palącej i mordującej bezmyślnie na kształt żywiołu, przed którym ratunku nie było, bo uderzał tak długo aż dzieła zniszczenia nie dokonał. Rządy wojskowe Denikina, choć niezdarne i niedbałe, a przytem oparte na ujętem w system łupieniu własnego kraju, były przecież jakby wytchnieniem po tem, co przeszło, gdyż

³⁾ Największe nasilenie terroru bolszewickiego, gdy idzie o okrucieństwo a nie o samą liczbę ofiar przypada na południu Rosji na pierwszy, że tak powiem żydowski, okres rewolucji przed wystąpieniem Denikina. Sprawcami terroru i hezprykładnych wyrafinowanych okrucieństw byli podówczas prawie zawsze żydzi aż do rielernich żydówek włącznie, na których rozkazy był ciemny muzyk w szynelu żołnierskim lub bez niego, do niedawna zawzięty wróg żydostwa. Wojna dokonała w jego duszy tej transformacji nastrojów. Z aktów konsularnych znam wypadek, że 16-letnia studentka żydówka polecała codziennie wprowadzać do swego pokoju na badanie uwiezionego obywatela polskiego. Tam rzew dwóch uzbrojonych krasnoarmiejcach kazała mu się do nawa rozbierać, poczem zapalonym papierosem parzyła go w genitalia.

badź co badź, sprawowali je ludzie, a nie szakale w ludzkim ciele, mściwi, nieprzystępni, zbrodniczy i okrutni.

Owe rządy nie wróżyły jednak nic dobrego. W dostarczane przez Anglików mundury ubierały się nie wojska Armji Ochotniczej, lecz bandy Machny i innych watażków, inflacja rubiem denikinowskim, niczem nie pokrytym, szerzyła się w sposób uniemożliwiający jakąkolwiek solidną wymianę towarów, przekupstwo urzędników dochodziło wprost fantastycznych rozmiarów, a sama polityka Denikina była w najwyższym stopniu nieostrożną i prowokującą. Zadzierał po prostu ze wszystkimi, odgrzewając wielkorusyjskie zachcianki i pretensje do władania tymi, którzy kiedykolwiek skosztowali rządów carskich.

W tych warunkach życia nie każdy umiał się obracać, tem bardziej, że poza wybrzeżem i większymi centrami panował zupełny prawie brak władzy. Machno i nie on jeden, łupił nawet znaczniejsze miasta, nakładał na nie kontrybucje i na dużej przestrzeni na północ od morza Azowskiego rządził się jak udzielny suweren. Wydawał nawet swój własny organ. Poza tem obok wojsk Denikina plątały się jeszcze, zwłaszcza między Dniestrem a Bohem, resztki armji ukraińskiej, oddziały wysoce polskości niechętnych Galicjan (Haliczan). Kto zatem mógł, ścigał do miast, sądząc, że znajdzie tam jakie takie bodaj bezpieczeństwo i możliwość komunikowania się ze światem. Powstały też samorzutnie całe szeregi polskich placówek konsularnych, których zadaniem było dostarczanie opieki nad rozbitkami polskimi, rzuconymi na to morze chaosu i zgrozy. A zatem w Kijowie działał Karol Zdziechowski, w Jekaterinosławiu Kazimierz Raczyński, w Połtawie Michał Kondracki, w Kramieńczugu Kazimierz Łada. Wszyscy jako agen

c; konsularni, przyczem placówka kijowska miała charakter urzędu wcale dużego.⁴⁾ W Charkowie, zdaje się, że za wiedzą polskiego rządu, sprawował funkcje konsula adwokat przysięgły Włodzimierz Kwiatkowski, w Noworosyjsku, dyrektor cementowni, Kazimierz Pstrokoński (przv pomocy przysłanego mu z Warszawy wicekonsula Janusza Knaflewskiego), a dla Sebastopola świeżo mianowano Bronisława Komierowski ego.

Nad liczną kolonją polską w Odesie i na zachodzie Ukrainy, zwłaszcza zaś w kraju t. z. Noworosyjskim, sprawował dotąd opiekę Karol hr. Brzozowski, który przemęczony ciężkimi przejściami podczas pierwszej ewakuacji Odesy w kwietniu 1919 r. prosił jednak o zwolnienie go od tych funkcji, tembardziej że nie ufając ogólnemu położeniu pragnął jak najszybciej wyjechać wraz z rodziną do Polski, pozostawiając swe majątki na los Opatrzności, co zresztą czynili wszyscy, bo nic innego nie pozostawało do wyboru. Przeto, gdy tylko po zajęciu Odesy przez Armię Ochotniczą stało się możliwem powtórne objęcie tam urzędu konsula, oraz nawiązanie w tym charakterze styczności z Warszawą, wysłał z raportem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych swego sekretarza, młodego, lecz wielce obrotnego Cezarego Berezowskiego. Rezultatem tej prośby o dymisję i raportu było zamianowanie mnie 14 października 1919 r. na stanowisko konsula w Odesie i delegata polskiego rządu, przyczem w skład powierzonego mi ob-

⁴⁾ Sekretariat sprawował Morgulec, kierownictwo sekcji handlowej inż. Schenaich, sekcji prawniczej adwokat Redel. Biurem kierował Chamiec. Utrzymywał się konsulat z zaciąganych pożyczek u Polaków, którzy licząc na zwrot ich przez skarb polski, woleli zbć się dużych sum, niż trzymać je u siebie w tych niebezpiecznych czasach.

szaru (circonscription consulaire) wchodziły wszystkie terytoria południowo - zachodniej Ukrainy, szczególnie zaś całe pobraże morza Czarnego na zachód od Krymu.

Już dnia 18 października 1919 r. w towarzystwie kilku osób z przyszłej obsady konsulatu opuściłem Warszawę i przez Czerniowce, Paszkany i Jassy dotarłem do Galacu nad dolnym Dunajem, gdzie czekając kilka dni na statek „Leopolis“ (włoskiej linii „Lloyd Triestino“) miałem możliwość zapoznania się nieco z naszą biedą emigracyjną w jej drodze do kraju. Uderzała przede wszystkim niezmierną niezaradność polskich czynników rządowych w Warszawie, w których ręku te sprawy spoczywały, bo i tu niedorzeczna centralizacja, charakteryzująca rządy polskie, zwłaszcza ówczesne, wyłaziła z każdego kąta. Z wszystkiego wynikało, że na miejscu operowało się bardzo małymi środkami materialnymi,¹⁾ że o porządnej organizacji emigracyjnych transportów, zwłaszcza z Galacu, nie było mowy,²⁾ a wreszcie, że bez upakarzającej,

¹⁾ W ciągu kilkumiesięcznej działalności, bo od 17 maja do końca października 1919 r., wydała galacka misja rapatrycyjna Państwowego Urzędu dla spraw powrotu jeńców, uchodźców i robotników, podlegającego Radzie Ministrów, a zwanego krótko JUR'em, wszystkiego 50 000 fr. francuskich przy miejscowych cenach żywności bardzo wygórowanych. 1 kg. chleba kosztował wówczas 60 banl. kartofli 75 b. do 1 lei; masła 25 do 30 lei; sera 12 do 15 lei; smalcu 24 lei. Za kilogram węgla płaciło się 40 banl. Na tych skromnych funduszach nie pozostających w żadnym stosunku do sum, jakimi rozporządzał Urząd w Warszawie, ciążyło pozatem utrzymanie personelu misji i wyposażanie w środki finansowe różnych jej agencji. N. p. honorowy konsul polski Cywiński w Kiszyniowie, zajmujący się dzielnie reemigracją, otrzymał 5000 lei, co atoli wobec tłumów tamtędy przeciągających było wprost niczem.

²⁾ Wozili emigrantów głównie statki rosyjskie „Mikofaj“, „Violetta“ i „Mieczta“ z Sebastopola i Noworosyjska; także „Poti“, „Lazariew“. Ten ostatni za

a zdaje się niekoniecznej, pomocy obcej i to, co się robiło, byłoby niemożliwem. Nasi emigranci jedli zatem francuskie suchary (pain de guerre), chleb świeży, mięso, konserwy, ryż, smalec, słoninę, bulion, fasolę, suszoną jarzynę, wreszcie pili francuskie wino, wydzielane po $\frac{1}{2}$ litra na osobę dziennie. Nawet wychodząc do Bułgarii zostawili go Francuzi misji w ilości do 1000 litrów. O ile nie wystarczały zapasy francuskie, sięgano do bogatych darów amerykańskich, które poza tem imponowały masą białizny, kołder, trykotaży itp. Chorych umieszczano bezpłatnie w galackich szpitalach francuskich i rumuńskich. Po Francuzach też, a mianowicie po czarnych wojskach afrykańskich, zajęli nasi emigranci budynki przy Strada Casarmei, Seret 11, w stanie jak najgorszym, gdzie urządzono na narach leżyska dla 240 osób. Atoli na tę ilość emigrantów, które w Rosji czekały odprawy do Polski i które po zwinięciu polskich misji emigracyjnych w Konstantynopolu i Batumie koniecznie przez Galac przejść musiały, było to mniej niż mało. W samym Taganrogu i okolicy, jak świadczył angielski telegram do misji, skupiło się w momencie, gdy bawiłem w Galacu 52 000 osób, w czem 32 000 litewskich żydów i 20 000 Polaków.³⁾

bierał do wschodnio-czarnomorskich portów Kozaków osadzonych przez Rumunów w obozie koncentracyjnym w Tulczy nad dolnym Dunajem. Z rumuńskich okrętów „Principesa Maria“ przywozła raz 240 rapatriantów z Konstantynopola, a kursująca dowolnie pod flagą polską „Polonia“, rzekomo własność niejakiego Ryłskiego, 900 z Noworosyjska, Sebastopola i Batumu. Stan sanitarny wszystkich tych okrętów był okropny. Nic dziwnego, że Rumuni bali się bardzo owych transportów emigranckich i nawet, jak to było raz (13 sierpnia 1919 r.) z „Violetta“, nie wpuszczali je poza Sulinę, lecz odpędzali od brzegu strzałami armatnimi.

³⁾ Ogromną zasługę wobec reemigracji polskiej zaszkarbili sobie w Galacu ludzie, w których ręku w tym

Odsyłka rapatryantów do Polski, stanowi znowu osobny rozdział w historii naszej niedo-
łężności i biernego poddawania się losowi. Po-
ciągów w zasadzie dostarczali Rumuni, przy-
czem ich ministerstwo wojny (ministerul de ras-
boju) prowadziło całą ewidencję tych transpor-
tów, żądając ze względu na niesłychane ubó-
stwo ówczesnego rumuńskiego taboru kolejowe-
go, aby w wozie towarowym jechało 50 osób.⁴⁾
Z Polski przybyły do Galacu 2 pociągi, z któ-
rych jeden (28 wagonów) przywiózł towary mi-
sji ekonomicznej Iwanowskiego i Templę, odsta-
wione potem „Polonią“ do rosyjskich portów
czarnomorskich, drugi zaś (30 wagonów) miał
charakter pociągu sanitarnego i jechał pod flagą
i zarządem polsko - amerykańskiego Czerwone
go Krzyża. Oba wracając wzięły rapatryantów.
Cała tragedia owych transportów, zarówno pol-
skich, jak i rumuńskich, leżała jednak w ich
nieregularności i prymitywności. Tylko całkiem
mocni ludzie mogli sobie pozwolić na podobne
podróże.

I jeszcze jedna strona w problemie naszej
ówczesnej niezorganizowanej a potężnej co do
liczby rapatryjacji zwraca uwagę każdego, kto
w ocenianiu podobnych rzeczy wychodzi z za-
łożeń użyteczności lub szkody ogólnie - państwo

czasie leżało pokonywanie tych wszystkich trudności a
zatem szef miejscowej misji JUR'a dr. Tadeusz Biel-
uchowski, kapitan Konrad Stobryn, dwaj Korsakowie, Jan
i Witold, Ignacy Bujnicki i Rudolf Hawryszenko. Wra-
cając z Odessy w miesiącu lutym 1920 roku znowu bawi-
łem kilka dni w Galacu i raz jeszcze przypatrzyłem się
zaocznej działalności dr. Bieluchowskiego i kapitana Sto-
bryna. W konkretnym wypadku chodziło o aprowizację
przybyłego z Noworosyjska i trzymanego na środku Du-
naju w kwarantannie statku „Kolyma“.

⁴⁾ Przez dłuższy czas, bo aż do wyjścia Francuzów
z Rumunii do Bułgarii, uruchomienie transportów rapa-
trjanckich było uzależnione od ich pozwolenia.

wej. Oto rapatrijanci, pominawszy już okoliczność, że przedstawiali żywiol niezmiernie różnej wartości społecznej, co znowu przy dość wczesnem i silnem ujęciu całego ruchu na miejscu w Rosji mogło być łatwo ulec dużej poprawie, przynosili naszemu państwu niedające się wprost ocenić szkody przez nadmierny, sięgający miliardów, wwóz waluty rosyjskiej. Jadąc do Polski wyzbywali się na miejscu za byle co rzeczy cennych i nabywali ruble, stające się z każdym dniem coraz to więcej bezwartościowym papierem.

Widziałem takich, którzy wieźli ze sobą po 5 milionów sztuk durskich a nawet dońskich, za które to „kapitały“ mogli byli łatwo na miejscu nabyć pewną ilość funtów angielskich lub dolarów, czego jednak nie czynili, licząc, że w Polsce ta wymiana będzie intratniejszą.

Rumuni przeciwko podobnej inflacji bronili się w sposób jak najenergiczniejszy, nie pozwalając nikomu przybywającemu w ich granice na posiadanie przy sobie większej ilości jak 2 000 rubli oraz na wywóz większej kwoty jak 500 lei.

Polska tych ostrożności zaniedbała.

II.

W Odesie jesienią 1919 r. Organizacja konsultatu. Polityka Denikina i Ententy. Handel pobrażony czarnomorskiego.

Dnia 27 października opuściłem Galac i wieczorem tego dnia dobiełem do Suliny. Nazajutrz rano stanąłem w Odesie. Statek, kręcąc się między polami min, wprowadzony został do portu przez pilota.

Odesa zrobiła na mnie wrażenie zgoła niekorzystne. Brudna i zaniedbana nie mogła być widać przyjść do siebie po kilkumiesięcznych

rządach bolszewickich a nowi jej władcy z pod znaku Denikina niewiele czynili, aby sprowadzić jakiś korzystny przełom. ⁵⁾ Wszystko jakieś zabłocone, zabiedzone i odarte a przytem przepojone wspomnieniami; niedawnych rzezi, mordów i egzekucji, które i tutaj rozszalały w całej swej okropności. A zatem w głębinach zewnętrznego portu poniewierające się kości setek oficerów floty czarnomorskiej, których tam, po zadaniu różnych katuszy, wrzucano, obciążając przywiązanymi do nóg kamieniami lub innymi ciężarami, zatem plac Jekateryński, gdzie w piwnicach jednego z narożnych domów odbywały się co noc śledztwa i mordy, zatem mogiły sterczące po placach publicznych, a kryjące ofiary rozpasania się najniższych instynktów człowieczych. Wszystko to przecież zacierało się i mijało w gwarze życia, a czerwień rewolucji zdawała się płowieć z każdym dniem pod wpływem nowych a tak starych marzeń o „jednej i niepodzielnej“ Rosji. Wszak moment, w którym ja wstępowałem na terytorjum południowej Rosji był zarazem okresem największego powodzenia Armji Ochotniczej i nic nie wróżyło, że to już początek końca i że po tym okresie przyjdzie drugi błyskawicznego załamania się całego przedsięwzięcia wojennego, którem nie umiano zainteresować szerokich mas ludowych, lecz tylko tłuszcę czynowników, próbujących wznowić dawne czasy, gdy na wszystkiem wyściskali piętno swych łap. I teraz jak niegdyś za caratu uderzała misterna i skomplikowana rozbudowa najrozmaitszych urzędów, wśród któ-

⁵⁾ Oddano bodaj do użytku wodociągi, unieruchomione w ciągu kilku miesięcy przez bolszewików. Brak dobrej wody miał ten skutek że Odese nawiedziła cholera, na którą zapadało dziennie do 100 osób. Gorzej jeszcze było w Chersoniu, gdzie ilość codziennych zasłańnięć dochodziła do cyfry 200.

rych nie prędko można się było zorjentować. Zawiała ich formalistyka i tendencja służyć raczej mogły do hamowania życia niż do jego podniecania.

Sprawy polskie w Odesie znalazłem w stanie nienajgorszym. Działały polskie stowarzyszenia, szkoły, a nawet wychodziło niezłe redagowane pismo polskie „Odrodzenie”.⁶⁾ Wszyscy żyli jednak jakimś życiem niepewnym, gorączkowym, jakby w oczekiwaniu czegoś, co przyjść może, a co nie będzie ani pożądanem, ani też utrwalającym możliwość spokojnego bytowania. Podnieść należy, że nieduże spustoszenia, jakie w życiu kolonii polskiej w Odesie poczynić były w stanie ostatnie rządy sowieckie, przypisać można w znacznej części gruzyjskiemu konsulowi Uszweridze, który w czasie panowania bolszewików został na miejscu, a rozporządzając sporą garścią swoich na wszystko zdecydowanych rodaków wzięł w opiekę żywioł polski.⁷⁾ Bolszewicy, mając wiele kłopotów, woleli z takim konsulem nie zadzierać, mimo, iż nie brakło im zachęty do działania terrorystycznego ze strony polskich, miejscowych komunistów, a mianowicie doktora medycyny Wiktora

⁶⁾ Z stowarzyszeń i organizacji: Macierz, Polski Związek Robotniczy, Ognisko, Towarzystwo Dobroczynności, Dom Polski, Sokół, Rada Organizacji Polskich, Związek nauczycielski. Gimnazjum imienia Aleksandra Jabłonowskiego czynne zrazu pod dyrekcją Mieczysława Ptaszyckiego, a potem Karola Krzyżanowskiego, schronisko i zakład wychowawczy dla dzieci „Dom Marji” pod kierunkiem Marji Drzewieckiej. „Odrodzenia”, tłoczono w „Drukarni Polskiej” przy ulicy Polskiej nr. 10, ostatni 10 numer, wyszedł 16 listopada 1919 roku. Redaktorem jego był Mieczysław Ptaszycki, który w tym czasie opuścił Odesę.

⁷⁾ Ministerstwo Spraw Zagranicznych oceniając zaślugi konsula Uszweridze wystosowało do niego list dziękczynny, który mu został przezemnie doręczony.

Żandra i jego żony, nauczycielki Wiemutówniej, buchhaltera Antoniego Grundeckiego (Sojki), robotników Grzelaka, Ryszarda Boratyńskiego i innych. Bardzo też zapobiegawczo przeciw terrorowi bolszewickiemu działali niektórzy polscy socjaliści.

Odebrawszy konsulat z rąk mego poprzednika, szybko uruchomiłem wszystkie działy pracy placówki, a zatem poza istniejącym już paszportowym i opartym o Radę organizacji polskich, rapatryjacyjnym, także handlowy, przekazywania pieniędzy do kraju, nawet polską pocztę z własnymi znaczkami pocztowymi.⁸⁾ Sprawy paszportowe objął wicekonsul Bronisław Kowerski, prawnie-administracyjne sekretarz Feliks Przybylski, handlowe, buchhalterję i kasę sekretarz Mieczysław Grabiński, wojskowe komendant etapu przy konsulacie z misji generała Karnickiego porucznik Stanisław Kosecki, poradę prawną mecenas Julian Mroczkowski, reemigrację z nominacji misji Skąpskiego mecenas Kazimierz Miłaszewski, kierownictwo kancelarii Tadeusz Januszewski. Konsulat, mieszczący się zrazu tylko w kilku salach przy ulicy Gogola nr. 15 od 20 listopada zajął nadto cały urządzony parter w domu księcia Gagarina przy ulicy Sofijskiej nr. 26, gdzie skupiły się wszystkie działy pracy urzędu, prócz paszportowego i reemigracyjnego, które pozostały w swej dawnej siedzibie.⁹⁾

⁸⁾ Ponieważ otwarcie poczty polskiej w Odesie odbyło się zupełnie formalnie na podstawie reskryptu Min. poczt i telegrafów w Warszawie, stąd i znaczki tej poczty nabrały praw obywatelstwa między filatelistami. Obecnie uważane są ponoś za wielką rzadkość.

⁹⁾ Wspaniałe urządzenie konsulatu przy ulicy Sofijowskiej należało do księcia Gagarina. Własnością konsulatu były tylko nieliczne przedmioty przeważnie drobne i obrazy, ofiarowane przez mecenasa Berezowskiego, wśród których imponował rozmiarami obraz starej szko-

Korzystając następnie z danych mi pełnomocnictw, wziętem się do organizowania pomocniczych organów konsularnych, jakimi są zawsze dobrze działające agencje. Ustanowiłem ich cały szereg, przede wszystkim zaś w ważnym Mikołajowie i Chersoniu, ale niemniej w Tyraspolu, Elizabetgradzie i gdzieindziej. Agencji mieli za zadanie czuwać nad akcją reemigracyjną, dawać wyjaśnienia w sprawie paszportów i brać w opiekę tych, których spotykała krzywda ze strony władz, rekwirujących zwłaszcza bezpodstawnie mieszkania obywateli polskich i powołujących ich w szeregi Armji Ochotniczej, na podstawie specjalnego rozkazu generała Denikina, zwalnającego od służby wojskowej tylko tych Polaków, którzy już się znajdują w składzie polskiej armji, albo tych, którzy wyjeżdżają do kraju.¹⁰⁾ Wszędzie i zawsze żądałem takiego samego traktowania obywateli polskich jak to, jakie było udziałem poddanych państw innych, co ostatecznie, choć nie bez sporów, uzyskiwałem. Przekonałem się, że w głowach Rosjan po prostu nie mogła się jeszcze pomieścić myśl, iż Polska już jest, i to suwerenna, uznana przez Europę, nie zaś dotychczasowa gubernja rosyjska. Zresztą zrozumienie zaśłej zmiany nie zapuściło korzeni nawet w najbliższem otoczeniu Denikina. Wystarczy powiedzieć, że naczelnik Zarządu Spraw Cudzoziemskich przy rządzie Denikina, w urzędowej enuncjacji ogłoszonej przez „Rusagen“ jeszcze dnia

ły, zapełniający sobą całą wielką ścianę, a przedstawiającą akt nadania Konstytucji 3 Maja. Lokal przy ulicy Gogoła był urządzone meblami Klubu „Ognisko“, „Domu Polskiego“ i osób prywatnych.

¹⁰⁾ Z więcej rażących nadużyć Denikińców przytoczę tylko sprawę z Oczakowa, gdzie do Armji Ochotniczej zaasenterowano 4 Polaków urodzonych w Królestwie Polskiem i 23 innych z gubernji Mińskiej, Kowieńskiej, Grodzieńskiej i Wileńskiej.

12 listopada 1919. zapowiadał rozstrzygnięcie sprawy niezawisłości Polski w nieokreślonej bliżej przyszłości, ale tylko w odniesieniu do t. zw. „etnograficznej“, bo o „historycznej“ u tych państw w ogóle nie mogło być mowy.

Stanowiska Denikińców wobec Polski nie podzielali przecież inni rosyjscy „innorodcy“. Dnia 14 listopada zgłosił się do mnie o objęcie opieki nad Estami, zamieszkałym w Noworosji i na Ukrainie, estoński „Komitet Narodowy“, wnet potem w odniesieniu do Łotyszów uczynił to samo łotewski. Prócz tego objąłem opiekę nad Gruzyczkami a nawet do pewnego stopnia i nad Finami. W chwilach szczególnie ciężkich nie brak też było i Litwinów, utrzymujących z konsulem stosunki przez ks. Antoniego Witorta, literata i pisarza ludowego. Dużo dobrze doświadczyli oni również od konsulatu charkowskiego, który przez czas dłuższy traktował ich na równi z Polakami, dawał zapomogi itd.

Mam silne i zdaje się uzasadnione podejrzenie, że w tem stanowisku oporu i niechęci do Polski, Denikińców podtrzymywali głównie Anglicy, którzy po usunięciu się Francuzów odgrywali w owym czasie na pobrzeżu morza Czarnego pierwszą rolę w zwalczaniu Sowieców, aby potem odstąpić ją znowu z powrotem swym sojusznikom, ale już tylko w odniesieniu do armji generała Wrangla, trzymającej się na Krymie o rok dłużej. Anglicy dostarczali Armji Ochotniczej broni, amunicji, umundurowania, środków leczniczych. Ich okręty wojenne snuły się groźnie wzdłuż wybrzeży a w niektórych punktach, zwłaszcza w wschodniej części morza Czarnego, potworzyły sobie podstawy operacyjne, które rychło przemieniły się w ośrodki bardzo ożywionego wywozu surowców południowo - rosyjskich. Przypuszczam, że zacięci sojusznicy Denikina pozbywając się niepotrzebnego im już

sprzętu wojennego, robili na tym procederze wcale niezłe interesy. Dość wspomnieć, że rząd Denikina odstąpił Anglikom wszystkie dostępne zapasy wartościowej wełny czarnomorskiej¹¹⁾, że dał im rodzaj monopolu przy zakupach tytoni kaukaskich i krymskich, wysprzedawał za pół darmo statki handlowe¹²⁾, miedź elektrolityczną itp. Osobny kapitel stanowiły zabiegi angielskie o naftę rosyjską. Pod skrzydłami angielskimi buszowali po pobrzeżu także Włosi, którzy skierowali na morze Czarne szereg swych okrętów handlowych i pasażerskich. Pierwsze przywoziły tam towary niemieckie, włoskie wina, owoce itp. rzeczy, a wywoziły niektóre surowce, drugie zaś pobierając za bilety okrętowe niebywałe sumy w walucie obcej wybijały z transportów bajeczne wprost zyski. Korzystał przytem i rząd włoski, którego reprezentant w Odesie, zażywający wogóle jak najgorszej sławy konsul Artur Maffei, podobno były poseł, brał za wizy należytości w złocie. W niechęć do Polaków i Polski przechodził on nawet Anglików, bo ich konsul generalny John London był wprawdzie wobec nas odpychająco zimnym i nieużytnym, ale poza tem zachowywał się poprawnie. Gorzej od niego sprawowała się natomiast wojskowa misja angielska, złożona przez ważnie z prostaków bez oglądy, którzy prócz tego nigdy nie taili swych antypolskich nastrojów. Zwożenie przez Anglików na pobrzeże czarnomorskie całemi setkami wyrzuconych z Lon-

¹¹⁾ Bardzo wiele wełny zabrali byli swego czasu na pobrzeżu czarnomorskiem Niemcy. U jednego tylko kupca obywatela polskiego Juljana Sorina, zarekwirowali 35 000 pudów, płacąc do 85 rubli za pud, w czasie kiedy cena targowa wełny dochodziła tam do 250 rubli. Za 2500 pudów wogóle nic nie zapłacili. W jesieni 1919 r. pud dobrej wełny oceniano na 1400 rubli.

¹²⁾ Wiem o jednej z takich tranzakcji, która oddała Anglikom odrazu w ręce 18 statków.

dynu za agitację bolszewicką żydów i żądanie od nas, abyśmy ich opatrywali; w polskie dokumenty podróży i to nawet bez względu na miejsce urodzenia, dawało raz wraz powód do zastrzeżenia się wzajemnych stosunków polsko-angielskich.

Poruszone przez nas przykrości do pewnego stopnia równoważył jak najlepszy stosunek z wieloma reprezentantami państw innych, przede wszystkim zaś Francji, której konsul G. Vautier był serdecznie nam oddanym: Życzliwie odnosili się do nas także Dr. Jerzy Kołombatowicz, przewodniczący delegacji Rady ministrów królestwa Serbów, Kroatów i Słoweńców, Dr. Har. Karamintszew, kierownik generalnego konsulatu bułgarskiego i Jarosław Hulle, sprawujący funkcje konsula republiki czesko-słowackiej. Omawialiśmy nawet myśl założenia słowiańskiego klubu konsulów.

Ze względu na potrzebę utrzymywania jakiego takiego kontaktu z miejscową prasą i społeczeństwem rosyjskim zaznajomiłem się także z szeregiem rosyjskich publicystów a zatem Alexandrem Samojłowiczem Karpaczewskim z gazety „Odeskija Nowosti“, Sergiejem Michajłowiczem Kelniczem i oficerem Tarutinem z pisma „Syn Otieczestwa“ i „Jedinaja Ruś“, Mawrikiem Grigoriewiczem Berłackim i innymi, którzy odślaniali mi od czasu do czasu dno fatalnych stosunków, w jakich się tu na pobrzeżu żyło i działało. Najbardziej na wszystkim ciążyła głęboka beznadziejność i apatia tych warstw, które wszędzie gdzieindziej usiłują utrzymać w swem ręku inicjatywę w życiu publicznem, a zatem intelligencji i klas posiadających, apatia tem dziwniejsza, iż cały przewrót bolszewicki był przecież przeciw tym grupom głównie skierowany. Chciały, aby je ktoś bronił i osłaniał,

lecz nie miały najmniejszej ochoty do jakichkol-
wiek ofiar i poświęceń.

Pieniądzem obiegowym w tym czasie na ca-
łym zachodnim pobrzeżu był rubel ukraiński,
t. zw. karbowaniec, który mimo zupełnego za-
przeczenia ze strony Denikina Ukrainie praw-
do życia państwowego oceniany był nawet nie-
co wyżej od denikinowskiego, t. dońskiego. Śre-
dnio w jesieni 1919 r. liczone 1 rubel carski rów-
ny 4 karbowaniom. Stopniowo ta relacja pogar-
szała się a rubel carski, zwłaszcza w odcinkach
sturublowych, o ile był całym i nie posiadał
tych lub owych defektów albo choćby tylko
śladów ukłóć szpilki, tam znowu a nie gdziein-
dziej czynionych, na czym dobrze znali się tyl-
ko dobrze wtajemniczeni żydzi, nabierał cha-
rakteru waluty zagranicznej, czego nie można
powiedzieć w całości o jeszcze jednym rodzaju
rubla t. zw. dumskim i o kierenkach¹³⁾. Z walut
obcych największym pokupem cieszyła się an-
gielska, z czem licząc się miejscowi żydowscy
fałszerze znaków pieniężnych, podobno mistrze
w swoim fachu, dostarczali jej w takich ilo-
ściach, że każdy mógł się w nią zaopatrzyć.
Frank francuski oceniany był zrazu na kilkanaś-
cie karbowaniów. Wartość jego kursowa jak
i wszystkich walut obcych wzrastała jednak
bardzo szybko tak, iż dochodziła do 50 karbo-
wańców lub rubli dońskich za sztukę. Leje ru-
muńskie nabywano trzy i pół raza taniej. Walu-
ty polskiej nie znano, zresztą przyjmowano ru-
bel carski równy marce polskiej.

¹³⁾ Rząd Denikina surowo ścigał wszystkie opera-
cje wymienne czynione między rublami, chcąc wszyst-
kim rodzajom rubla zapewnić kurs jednolity. Nie potrze-
buje dodawać, że te usiłowania wydawały jako taki sku-
tek tylko w odniesieniu do banków, które rachunki pro-
wadziły w rublach obiegowych, carskie zaś przyjmowały
na przechowanie.

Handel miał wszelkie cechy gwałtownej wysprzedaży inwentarza. Sprzedawano wszystko, co tylko unieść się dało a wszelkie utrudnienia i zakazy, wydawane w tym kierunku przez rząd Armji Ochotniczej, nie odnosiły najmniejszego skutku, tem bardziej, że i sam rząd postępował podobnie jak i ogół. Dla celów tego osobliwego handlu wiązały się na prędcę najrozmaitsze towarzystwa, wśród których i polskie zajmowały nie ostatnie miejsce, a zatem Pol—Orient, Pol—Rus.¹⁴⁾ Orient i inne. Nie brakło też Rosyjsko - Polskiego Towarzystwa Żeglugi z siedzibą w Noworosyjsku, założonego z kapitałem 100 milionów rubli dońskich, z czego 50 milionów dał Polacy a drugie pięćdziesiąt powstały przez aport posiadaczy okrętów, jako to „Czarnomorsko - azowskiego pa rochodztwa“, które dostarczyło 1800 - tonowy statek „Wozroźdzenie“, mogący pomieścić 750 pasażerów, niejakiego Diamantidiego, właściciela „Eleny“ (1800 ton) i „Dimitrii'ego“ (1000 ton) oraz Polaka Emeryka z jego „Estella Maria“ (950 ton). Dla popierania obrotów handlowych, głównie wełną, szmatami, owczemi skórami, miedzią i rudą manganową zawiązał się nadto z kapitałem 100 milionów rubli dońskich specjalny „Rosyjsko - Polskij Bank“ z siedzibą w Noworosyjsku.

Patronować nad tem wszystkim miała „Polska Izba Handlowa dla południowej Rosji i Kaukazu“ z siedzibą w Warszawie, kierowana przez jej prezesa Dr. Ludwika Zielńskiego, na miejscu zaś, na razie raczej w projekcie niż w rzeczywistości istniejąca, „Słowiańska Izba Handlowo - Przemysłowa“, której zarząd spoczywał w ręku profesora A. Fiodorowa. Podo-

¹⁴⁾ Towarzystwo to miało na względzie także nieco odmienne od reszty zespołów handlowych zadania specjalne.

bnie zresztą urządziły się i inne narodowości. Działała zatem, z znanych mi, Izba rosyjsko-włoska, rosyjsko—amerykańska, rosyjsko—francuska, rosyjsko—angielska.

Poza tem handlowano bodaj tytoniem, gdy inaczej nie można było. Mnóstwo rapatriantów wiozło do Polski pudami tytoń czarnomorski, którego cena wynosiła w tym czasie loco grania polska przy dostawach hurtownych około 20 marek za kilogram surowca, a około 40 do 45 za krajany. W każdym razie postępowanie to było wężej pochwały godnem niż zwożenie milionów różnych niczem niepokrytych rubli i nasycanie nimi kraju, który i tak ciężko walczył o zdobycie finansowej i gospodarczej równowagi.

Stare firmy pracujące na podstawie interesów mn.ej dorywczych i wężej przemysłanych schodziły coraz to bardziej z pola. A tyczyło to tak dobrze instytucji polskich jak i obcych. Głucho zatem i pusto wyglądało obszerne wnętrze odeskiej filji „Crédit Lyonnais“ lub miejscowe go oddziału „Rosyjskiego Banku dla handlu i przemysłu“, kierowanego przez patrijotyczne go ks. Cz. Puzyne.¹⁵⁾ Podobnie było zresztą i w innych instytucjach. Wpływ bezpośredni wypadków wojennych również likwidował jedną placówkę za drugą, jak np. od dawna istniejący oddział warszawskiego „Banku handlowego“ w Kijowie, którego dyrektor Józef Frycz wraz z personelem przez Odesę zmierzał w tym czasie do Polski, jak „Towarzystwo składów towarowych“ hr. Ledóchowskiego w Miłkołajowie itd.

*) Pośrednictwa tego banku używaliśmy do przekazywania pieniędzy reemigrantów do Polski. Razem przekazaliśmy 3. 118.000 rubli, wypłaconych w Polsce markami. Akcja wyszła z inicjatywy P. K. O. i Pol. Kraj. Kasy Pożycz.

Dziwnie odpornemi wśród opisywanej zawieruchy ekonomicznej okazały się tylko kooperatywy. Odeski kredytowy związek kooperatyw „Sojuzkredyt“, łączący w sobie 103 wiejskich kredytowych kooperatyw i 11 kooperatywnych związków, nie tylko iż względnie całkiem normalnie pracował w swej centrali w Odesie, ale również i w filjach w Tyraspolu, Annanjewie i Berezówce. Polska kooperatywa „Wisła“ w Władykaukazie oparta na udziałach po 100 rubli, miała w roku 1919 po dzień 1 października obrotu 5 330 254 rubli, a zysku zwyż 100 000.

III.

Kłeska wojsk Denikina i jej skutki. Zamknięcie przez Rumunów dla rapatriacji linii Dniestru. Bierność polskiego rządu. Wyprawa do Suliny okrętu „Rumiancew“.

Gdy jak widzimy całe rosyjskie pobrzeże czarnomorskie zamieniło się powoli w jedną wielką targowicę bogacącą obcych, od północy obszaru, zajętego przez Armję Ochotniczą, zaczęły tymczasem dochodzić pogłoski o ogromnych jej niepowodzeniach a zatem o wyparciu Denikina z centralnej Rosji, o panicznej ucieczce jego wojsk ku południowi, a wreszcie w pierwszych dniach grudnia huknęła jak grom wiadomość o zdobyciu przez bolszewików Kijowa. Ogromna masa uchodźców, która się niebawem w Odesie zjawiała, przywiozła może nie tyle dokładne, ile wielostronne wiadomości o tym decydującym fakcie. Widocznem też było, że bolszewicy pokuszają się teraz o dotarcie do brzegów morza Czarnego. Chodziło tylko o to, czy zależnie od swych sił i planów, zechcą naprzód rozprawić się z zachodniem słabszem skrzydłem Armji Ochotniczej, czy też ruszą

odrazu na Rostow, Nowoczerkask i Noworosyjsk.

Na konsulacie ten obrót rzeczy na teatrze wojny odbił się jak najfatalniej. Przedewszystkiem wzmożła się potężnie ilość rapatryantów, którzy całymi pociągami i okrętami z wszystkich stron ściągali do Odesy, a powtórnie na miejscu i na całym pobrzeżu zwiększyła się kolosalnie i tak już ogromna niesprawność wszystkich organów urzędowych. Ujawnił się wśród nich nastrój paniczny, zwiększył się chaos, wzrosła niepomniernie przestępczość i rozruczenie się najgorszych mętów społecznych. Doszło do wojny wszystkich przeciwko wszystkim, zwłaszcza zaś większe wsi, nierzadko doskonale uzbrojone, były wybitnymi centrami akcji antypaństwowej i oporu wywołanego szczególnie niechęcią oddawania zapasów żywnościowych przeciągającym wojskom. Płacenie gotówką też niewiele tu było w stanie zaradzić, bo wieś wprost cierpiała od nasycenia się bezwartościowym rublem i więcej go nie pragnęła. Chciała soli, manufaktury i nafty. Gorzałkę sobie sama robiła (samogon).

Na dobitkę okres zimy spotęgował do tego stopnia epidemję grasującego tyfusu, że w samej Odessie marły dziennie setki ludzi¹³⁾, a Rumuni zarówno ze względów sanitarnych jak i z racji rozgrywających się wypadków wojennych i przemnogich band, które zaczęły grasować po całej Ukrainie, zamknęły szczelnie swoją granicę nad Dniestrem.

*) Jeszcze gorzej szerzył się tyfus na wsi; gdzie wesz, roznosząca tyfus, stała się wprost żywiołem. W wielu stronach wymierali wszyscy mieszkańcy domów. Trupami były zawalone liczne budynki kolejowe, a nawet wagony, stojące na stacjach. Nie było silnej władzy, któraaby przymusiła gminy do grzebania zwłok, zwłaszcza uchodźców, których śmierć zaskoczyła w drodze i żołnierzy należących do różnych formacji.

Zresztą i regularne oddziały Armji Ochotniczej niewiele różniły się od band, jak o tem świadczy niebywały chyba w dziejach wojskowości rozkaz generała Dragomirowa, wydany przez niego dnia 15 grudnia 1919 na stacji Gołta. Przytoczę go w całości, nie tylko dla rzadkości podobnych dokumentów, ale i dla scharakteryzowania czasu i rozgrywających się wypadków.

„Rozkaz komenderującego wojskami okręgu kijowskiego nr. 149. Stacja Gołta, 15 grudnia 1919 r.

Ogłaszam niniejszem depeszę z dnia 15 grudnia numer 83 010, wysłaną przezemnie generałom Bredowowi i Promtowowi:

Ze względu na sytuację wojenną, w myśl mojego przedstawienia sprawy Głównodowodzącemu zbrojnym siłami na południu Rosji, wojska powierzonego mi okręgu przechodzą pod bezpośrednie dowództwo generała Szillinga, komenderującego okręgiem noworosyjskim. Sztab i cywilne urzędy kijowskiego okręgu rozwiązują się, godność głównego naczelnika i komendanta wojsk zawiesza się.

Dziś z władzami wyjechałem do Odesy.

Ani razu w ciągu całej mej bojowej służby nie zdarzyło mi się opuszczać swoje wojska w tak ciężkiej sytuacji, jednak konieczność wojenna i powodzenie sprawy winienem postawić ponad osobistemi uczuciami.

Przyjmijcie odemnie i ogłoście wojskom, sztabom i instytucjom moje serdeczne podziękowanie za ciężką i ofiarną służbę. Głęboko jestem przekonany, że wnet ockniemy się i zatrzymamy wrogie zagony, znowu zaczniemy nieprzyjacielskiej armji zadawać klęski, jak to było temu pół roku.

Ogłaszając moje podziękowanie powierzonym wam oddziałom, proszę je nie wyrażać:

1) Tercom, którzy we wrześniu i październiku, znajdując się w rejonie Białej Cerkwi, okryli siebie nie dającym się zmyć wstydem z powodu swoich pogromów, grabieży, gwałtów i okazania się na polach bitew zupełnymi tchórzami;

2) Oddziałowi wołczańskiemu, który utracił swoje dawne bojowe męstwo i okrył się sromem niedotrzymania danego mu; uroczyście słowa, że zanęca systematycznych grabieży i gwałtów, popełnianych na spokojnych mieszkańcach, który również spadł do poziomu zupełnej utraty dyscypliny i niestosowania się do poleceń komendy;

3) Pułkowi osetińskiemu, który przeistoczył się w luźne bandy rozbójników przy zupełnym braku bojowego męstwa;

4) Pułkom gwardji, które swoje stare krwią przodków zbryzgane sztandary okryły hańbą niebываłych rabunków, łotrostw i gwałtów, przy równoczesnym wykazaniu niezmiernie słabych wartości bojowych, zupełnym braku wewnętrznego ładu i stałym naruszaniu rozkazów wyższej komendy.

Wymienione oddziały nie zasługują na żadne podziękowanie i ja uczynię wszystko, co będę mógł, aby przy pierwszej sposobności je całkowicie rozwiązać jako takie, które świętemu dziełu ratowania ojczyzny przyniosły nędzącą się obliczyć szkodę, chyba, że w najbliższej przyszłości naprawia one swe zbrodnicze przewiny wobec ojczyzny bojowym męstwem i bezlitosnym wymienceniem z swoich szeregów opryszków i rozbójników, sprawców niebываłej hańby.

Wam obydwom dzielnym wyższym dowódcom i waszym druhom, zacnie spełniającym



swój obowiązek, szlę serdeczne pozdrowienia i braterskie życzenia sił, zdrowia i nigdy nie zawodzącej energii w waszej walce o święte dzieło ratowania ojczyzny.

Niech wam Bóg dopomaga!

Generał kawalerji — Dragomirow.“

Generał swym rozkazem stwierdził niezbitcie, czem była Armja Ochotnicza i dlaczego musiała tak sromotnie zawieść.

Nic też na wyrobione w niej poczucia honoru nie pomagały uroczystości w guście tej, jaką np. w Odesie dla uczczenia 150-letniej rocznicy istnienia orderu św. Jerzego urządził dnia 9 grudnia generał Szilling. Zeszli się kawalerowie orderu, posłuchali przemówień, ale dalej robili swoje, rabowali, sprzeniewierzali, oddawali się pijaństwu i ani myśleli umierać za sprawę ojczyzny. Wszystko żyło pod znakiem orgji. Szczególnie noc sylwestrowa całą Odesę napęłniła strachem. Rozpoczęto taki ogień z karabinów zwykłych i maszynowych, rzucono tyle granatów i bomb, iż zdawało się, że nieprzyjaciel nastąpił na miasto, albo, że wybuchł jakiś powszechny rokosz. Tymczasem była to tylko uliczna, solenna zabawa rozbawionego, pijanego i zdemoralizowanego żołdactwa, psującego amunicję, której nie myślało używać w walce z wrogiem. Dostało się także okrętom w porcie. Niektóre z nich fatalnie podziurawiono..

Kto uszedł piekła bolszewickiego nie wiele przeto na tem zyskiwał, dostawszy się pod rządy rozpadającej się ostatecznie soldateski Denikina. I jeżeli przedtem pobrzeże czarnomorskie pragnęły opuścić tysiące i dziesiątki tysięcy, to teraz tych spragnionych zjawiały się już krocie, tylko że sposobów wydobycia się było bardzo mało, zwłaszcza od chwili, kiedy Rumuni zabronili na linii Dniestru wstępu na swoje te

rytorjum. Zakaz ten dotknął przedewszystkiem Rosjan, ale i dla Polaków był wysoce niepożądanym, choć go nam Rumuni formalnie nie ogłosili.

Dotąd, to jest mniej więcej do połowy grudnia, pomnawszy drogę morską, istniały przeprawy do Rumunii w Akermanie (Białogrodzie), Benderach (Thigine), Resnie, Soroce i Attakach z korespondującymi po stronie rosyjskiej miejscowościami... Owidiopolem, Tyraspołem, Rybnicą, Jampolem; Mohilowem Podolskim. Po części obywatelskie poczucie narodowego obowiązku a po części opieka Urzędu państwowego JUR sprawiła, że w wszystkich prawie tych punktach znalazła się jakaś życzliwa dusza polska, która zajmowała się rapatryjantami. Tylko w Owidiopolu i Akermanie nie było nikogo. W Tyraspolu z nominacji konsula polskiego w Odesie kierował etapem najpierw niejaki Zieliński, zdaje się kapitan, potem Bahr, a wreszcie Ilcewicz, w Benderach powołani tam przez Urząd państwowy JUR, inżynier Sommer; Dr. Porajski oraz kooptowany ks. Szczurek. W Rybnicy reemigrantami interesował się Dr. Biliński, w Resnie Szczęsny Miłobęcki, w Jampolu Staniszewski; w Sorokach Aleksander Colonna Walewski, w Mohilowie Podolskim, względnie w Attakach, Stanisław Jaroszyński. Najważniejszym punktem, przepuszczającym nieraz tygodniowo do 240 ludzi, średnio zaś dziennie (z wyjątkiem sobót i niedziel) po 35, był zawsze Tyraspol — Bendery. Inne działały bardzo niejednostajnie. Teraz i ten punkt Rumuni zamknęli, stwarzając naszym rapatryjantom sytuację niezmiernie ciężką, prawie, że tragiczną. Kursujące jeszcze ciągle co czwartku i niedzielą pociągi między Odesą a Tyraspołem przywoziły tam coraz to nowe polskie grupy emigrantów, które po to chyba grzęzły w Tyraspolu, aby jeździć

raz wraz wynajętymi od żydów końmi do odległego stamtąd o 8 km. Dniestru i dowiadywać się ze wstęp do Rumunii nadal zamknięty lub przypatrywać się jak jedyną rozporządzalną łodzią, mogącą pomieścić 5 pasażerów, przewożą Rumuni swoich Bessarabców. Z Polaków tego szczęścia dostępowali tylko kurjerzy dyplomatyczni i osoby z dyplomatycznymi paszportami.

Miejscowi żydzi; tyraspolscy wyzyskiwali niemiłosiernie ciężką sytuację emigrantów polskich, każąc sobie nie tylko płacić horrendalne ceny za najędzniejsze nawet schroniska i pożywienie, ale nadto zarabiając niezmiernie wiele na zmianie pieniędzy. Za sztukę 1000-rublową dumską, ocenianą w Odesie na 1800 do 2000 rubli dońskich,¹⁷⁾ dawali oni 1200, a nawet tylko 1000 rubli. Emigranci, skarżąc się ciągle w konsulacie na te nadużycia twierdzili że żydzi działali tu w ścisłym porozumieniu z Rumunami, którzy co prawda wszystko robili, aby ustalić sobie jak najgorszą reputację. Do inżyniera Edwarda Białkowskiego z Warszawy, zagadnięty przez niego oficer rumuński; czy umundurowany urzędnik odezwał się wprost: „Nie rozmawiam z Panem, bo Pan jesteś Polakiem“. Tak samo traktowano atoli i innych. Sędzia pokoju Antoni Obniski był świadkiem jak władze rumuńskie w pierwszych dniach stycznia w sposób niezwykle szorstki odtrąciły od brzegu rumuńskiego starającego się tam dostać oficera francuskiego, attaché misji wojskowej w Kiszyniowie.

Ubożsi reemigranci mieszkali; w wagonach kolejowych, wyproszonych przez konsulat u

17) Przypominam że każdy banknot inaczej taksonowano według dostrzeżonych, rzeczywistych lub urojonych braków.

władz rosyjskich. Przy panujących jednak mrozach i śnieżycach to umieszczenie na dłuższą metę było nie do zniesienia. Zabiegi konsulatu u władz o rekwizycję pomieszczeń w przepelnionym uchodźcami Tyraspolu dały rezultat bardzo skromny. Reemigrantom oddano zaledwie 2 domy ; tymczasowe schronisko, które urządzono w trupiarni przy żydowskim szpitalu. Na oddanie kasarni w Tyraspolu Rosjanie przystać nie chcieli. Tak samo nie na wiele się zdały zabiegi konsulatu czynione przez generała Weisa i Dr. Boguckiego, prezesa komitetu do walki z epidemjami w okręgu odeskim, u komenderującego wojskami; a zarazem pełniącego funkcje generała gubernatora Szillinga o intensywniejsze zajęcie się zwalczaniem tyfusu planistego, w szczególności zaś o asygnowanie na ten cel ziemstwu tyraspolskiemu i miastu 250 000 rubli. Aby jako tako nieszczęściu epidemji zaradzić, z niedużych zasobów, którymi konsulat rozporządzał, już w listopadzie, założyliśmy w Odesie szpital dla tyfusowych, zrazu na 10 a potem 23 łóżek. Najczęściej służyły one tym chorym obywatelom polskim, których przyniesiono z portu z zawijających tam okrętów. Bywało, że kładziono ich nam spokojnie na podwórzu konsulatu, więcej się już nimi nie interesując.

Z początku mimo utraty Kijowa, można było jeszcze ryzykować wysyłanie od czasu do czasu pociągów na Żmerynke i Proskirów. Ale bardzo rychło ze względu na namnożenie się band między Kijowem, Berdyczowem, Winnicą i Braclawiem ta droga transportów odpadła. Zresztą polskie oddziały wojskowe, stacjonujące podówczas w okolicach Kamieńca Podolskiego i Płoskirowa zastrzegły się stanowczo przeciwko dalszemu wysyłaniu w te strony rapatriantów. Ostatni pociąg zorganizowany z po-

moca konsulatu, głównie przez grono miejscowego obywatelstwa i Kijowian, bawiących w Odesie, odszedł stamtąd w połowie grudnia.

Stare polskie przysłowie mówi, że „gdzie cienko, tam się rwie“. A zatem i Włosi, korzystając z sytuacji, podnieśli do niebwywałego poziomu swe żądania za przejazd ich statkami. W listopadzie kazali sobie płacić za bilet okrętowy do Galacu 9 600 rubli, w grudniu już dwa razy tyle, równowartość we frankach, a w styczniu pasażerowi polskiemu wykupującemu bilet, choćby nawet pierwszej klasy za 60 000 rubli, o ile wogóle mu się to udało, wolno było co najwyżej gdzieś stanąć pokornie w kącie okrętu „mais sans le droit de réclamer le lit et la nourriture réglementaire“¹⁸⁾ I to jeszcze uchodziło za łaskę i było wynikiem wspólnych starań zarówno konsulatu odeskiego jak i delegata rządu polskiego, ministra Dr. Jodki w Konstantynopolu, z którym od czasu do czasu udawało mi się zamienić kablogram, prosząc o pomoc i interwencję w Warszawie, Bukareszcie lub gdzieindziej i malując straszliwe położenie naszych rapatryjantów.

18) List ministra pełnomocnego dr. Jodki w Konstantynopolu do mnie z daty 17 stycznia 1920 roku. Siłowa wysyłka włoskimi okrętami „Cleopatra” i „Constantinopoli” nawet na tych ciężkich warunkach emigrantów polskich była powodem mojego ostrego konfliktu z miejscowym konsulem włoskim Maffey'em, który wbrew opinii Wysokiego Komisarza Włoskiego w Konstantynopolu próbował udaremnić i to niewiele, na co się Komisarz zgodził pod pozorem, że okręty linii Lloyd Triestino zachodzą do portu w Constanzy nie zaś do Galacu, jedynie dostępnego dla polskich rapatryjantów. Zamiast przyznanych nam 100 miejsc musieliśmy przyjąć 62 a gdy „Constantinoli” odwlekał wyjazd pod pozorami ładowania, frachtu włoskiego naprawdę zaś zabierając wełnę dla Niemców, Polaków pojechało ostatecznie tylko 26 osób.

Prosiłem szczególnie o wystaranie się o fundusz na wynajęcie przez nasz rząd kilku statków, których moc beczynnie rdzewiała w Konstantynopolu i o użycie ich do transportu polskich reemigrantów. Wszystko jednak bezskuteczne. Warszawa nie odezwała się ani razu, nie okazała ani cienia zainteresowania się tem, co się działo nad morzem Czarnem i na południu Rosji, zostawiając setki tysięcy obywateli polskich ich własnej zaradności i przypadkowi, oraz niewystarczającej pomocy konsulatów, pozbawionych wszelkich prawie zasobów materialnych. Dość powiedzieć, że obliczony na sześć miesięcy budżet takiej placówki konsularnej jak Odesa¹⁹⁾ wynosił zaledwie 328 460 rubli carskich i 514 funtów angielskich¹⁹⁾. Jeżeli konsulat mimo wszystko w najkonieczniejszych wypadkach spieszył przecież z pomocą, to tylko dzięki ofiarom zbieranym wśród zamożniejszych przejeżdżających rodaków. Ochoty do ofiar było jednak mało i przeważnie każdy myślał wyłącznie o sobie.

Jakby na ironję w momencie, kiedy Rumuni jak najszczelniej zamknęli granicę, proszone o instancję poselstwo polskie w Bukareszcie przesłało mi przez Konstantynopol, a mianowicie przez sztab Armji Alianckiej (Etat major A. A.) na ręce biura wojskowego alianckiego w Odesie kablogram następującej treści:

„Sztab Generalny Armji Alianckiej w Konstantynopolu do Biura Międzysojuszniczego w Odesie.

19) Dla ilustracji jak budżet był niewystarczającym przytoczę, że funt chleba kosztował więcej niż rubla carskiego, cukru 10 rubli, mięsa 9 rubli itd. Opał sprzedawano na funty po takich cenach, iż o opaleniu mieszkania nawet konsula mimo kilkunasto-stopniowych mrozów, nie było mowy.

Konsul polski w Odesie uznał za stosowne na skutek nieściślych wieści sprzeciwić się rapatrjacji przez Rumunję polskich i rumuńskich uchodźców z Odesy.

Minister polski w Bukareszcie uprasza mnie za pośrednictwem generała Petain, attaché militaire francuskiego poinformować konsula polskiego w Odesie, że w tem jego postępowaniu tkwi błąd i że wprost przeciwnie może on wysyłać uchodźców przez Rumunję.

Wskutek tego proszę Pana podać mu spiesznie tę wiadomość“.

Więc nie dość, że Rumuni zamknęli granicę, ale jeszcze w dodatku w błąd wprowadzili nasze poselstwo i uśpili jego czujność, bo inaczej depesza jak powyższa byłaby niezrozumiała.

Pokazało się to zresztą bardzo rychło na próbie zorganizowania przez konsulat pod opieką moralną amerykańskiego Czerwonego Krzyża wysyłki rapatrjantów do Galacu rosyjskim okrętem „Rumiancew“em“.

Sprawa ta z jednej strony maluje tak dosadnie całą rozpaczliwość stosunków, w jakich pracować musiał, pozostawiony sobie samemu i pozbawiony oparcia o autorytet państwa, konsulat polski w Odesie, a z drugiej taką niebywałą swawolę władz rumuńskich, ich zupełne lekceważenie sobie nie tylko już czynników oficjalnych polskich, ale i obcych, że uważam za stosowne podać przygody „Rumiancewa“ nawet z szczegółami, idąc śladem złożonego mi sprawozdania jednego z jadących, a mianowicie członka misji zagranicznej Państwowego urzędu JUR Jerzego Kurnatowskiego, który w tym czasie w drodze z Konstantynopola bawił w Odesie i brał udział w owej niefortunnej wyprawie do Rumunji, pełniąc zarazem funkcje polskiego kurjera dyplomatycznego, wiozącego

pocztę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. On też z mojego ramienia sprawował opiekę nad wysyłanymi okrętem obywatelami polskimi.

Oto mniejwięcej słowa raportu Kurnatowskiego:

„Okręt „Rumiancew“ odpłynął z Odessy d. 21 stycznia 1920 r. wczesnym rankiem i przybył do Suliny tegoż dnia o godzinie 6½ wieczorem, mając na pokładzie 398 pasażerów Polaków z biletami drugiej i trzeciej klasy, w czem 53 dzieci do lat 10. Oprócz owych pasażerów na statku znajdowało się jeszcze kilku podróżnych innych narodowości oraz: przedstawiciel amerykańskiego Czerwonego Krzyża por. Foster, członek amerykańskiego poselstwa w Bukareszcie Charles F. Bourk, członek angielskiej misji w Odessie W. Word, duński kurjer dyplomatyczny H. Winkel, kurjer konsulatu polskiego w Odessie, wiozący pocztę do Bukaresztu, Zieliński i autor niniejszego raportu.

Po przybyciu do Suliny statek pozostawiono w kwarantannie i pozbawiono wszelkiej łączności z lądem.

Dnia 22. stycznia na statek przyjechał lekarz portowy oraz służba dezynfekcyjna. Badanie lekarskie pasażerów przeprowadzone zostało w ciągu 2 godzin, dezynfekcja zaś ubrań i pościeli dnia następnego, poczem flaga kwarantanna została spuszczona.

Dnia 23 stycznia po ukończeniu dezynfekcji statek odwiedził komisarz morski z Suliny komandor Rene Herter, który po otrzymaniu od porucznika Fostera informacji o celu przybycia statku i ilości pasażerów zakomunikował, iż okręt będzie przepuszczony do Galacu niezwłocznie pod warunkiem, że przez por. Fostera jako faktycznego komendanta statku oraz mnie, sprawującego z ramienia konsula polskiego w

Odesie opiekę nad obywatelami polskimi będą wydane zobowiązania, iż tych pasażerów, którym przejazdu przez Rumunię wzbronią władze rumuńskie, odeślemy z Galacu z powrotem do Odesy.

Zobowiązanie żądane, mając na względzie możliwie szybkie wyruszenie w dalszą drogę, wydane zostały przez por. Fostera oraz przeze mnie, poczem Herter nas uwiadomił, że statek wyruszy z Galacu następnego dnia 24 stycznia o godzinie szóstej rano. O mającym nastąpić przyjeździe grupy reemigrantów polskich zawiadomiłem telegraficznie misję JUR'a w Galacu za pośrednictwem Hertera. Jednakże jeszcze tegoż dnia (23 stycz.) wieczorem Herter kartką prywatną doniósł porucznikowi Fostrowi, iż na zasadzie tylko co otrzymanego rozkazu ministerjum wojny (ministerul de rasboju) nie może przepuścić statku do Galacu.

Dnia 24 stycznia zrana przysłano Herterowi listy, a mianowicie por. Fostera, w sprawie przepuszczenia „Rumiancewa“ oraz Bourka z prośbą o przyspieszenie podróży do Galacu tak jego, jak i kurjera duńskiego i mojej, niezależnie od terminu wypuszczenia z Suliny statku, wobec możliwości zatrzymania go tam czas dłuższy.

Na skutek powyższych listów tegoż dnia o godzinie 2 popołudniu zostali przewiezieni z „Rumiancewa“ na stojący na kotwicy naprzeciwko jacht komendanta portu: por. Foster, Word, Bourk, Zieliński, komendant statku por. Aleksiejew i ja. Na jachcie przyjął nas Herter i pani Contanescu, żona ministra granic, która przypuszczalnie zastępowała swego męża w jego nieobecności. Po przejrzaniu dokumentów osób obecnych przez Hertera i poddaniu ich przez tegoż pod ostateczną krytykę pani Contanescu

oświadczył pierwszy, iż o pozwolenie przejazdu do Galacu dla kurjerów dyplomatycznych, jadących z Konstantynopola, zapyta telegraficznie władze w Bukareszcie, co się zaś tyczy Zielińskiego i innych osób oficjalnych, jadących z Odesy, to nie będą one zapewne do Galacu przepuszczone. Powyższe słowa na prośbę Hertera były potwierdzone przez panią Contanescu. Zaznaczyłem wówczas, iż odpowiedź na depeczę wysłaną do Bukaresztu w sprawie przepuszczenia kurjerów dyplomatycznych nie może nadejść dość szybko wobec przypadającej dnia następnego niedzieli, co spowoduje niepożądaną zwłokę w dostarczeniu pilnej korespondencji, którą wiozę, oraz dodałem, że wyrabianie specjalnego pozwolenia na przejazd kurjera dyplomatycznego jest chyba zbyteczne. Odpowiedziano mi, że pomimo niedzieli rezolucja odpowiednich władz w Bukareszcie nadejdzie szybko i kurjerzy odjadą napewno w poniedziałek dnia 26 stycznia rano statkiem wojennym francuskim lub najdalej we wtorek rano statkiem pocztowym.

W sprawie pasażerów polskich, jadących z Rosji do Polski Herter i pani Contanescu zakomunikowali, iż Ententa wydała wprawdzie rozporządzenie o przepuszczaniu tych osób przez terytorjum Rumunii z zachowaniem przepisów kwarantanowych, obecnie jednak ani w Sulinie ani w Galacu rumuńskie władze nie posiadają odpowiednio urządzonych pomieszczeń. Wobec tego stosownie do otrzymanego wczoraj rozkazu z ministerjum wojny statek „Rumiancew“ będzie przepuszczony do Galacu dopiero po zawiadomieniu Suliny o sformowaniu pociągu, który przewiezie uchodźców bezpośrednio z Galacu do granicy polskiej, co potrwa kilka dni. Wówczas Zieliński i ja zauważyliśmy, iż pasażerowie, jadący na „Rumiancewie“ nie mogą

być podciągnięci pod kategorię „uchodźców“, gdyż wszyscy prawie z bardzo małymi wyjątkami, wykupili bilety na statek. Do tych pasażerów winny być stosowane przepisy, dotyczące zwykłych podróżnych a nie uchodźców. Na to otrzymaliśmy odpowiedź, iż ta okoliczność nie zmienia stanu rzeczy, a bezpośredni przejazd ze statku do granicy polskiej pasażerów „Rumiancewa“ jest tem konieczniejszy, dodała pani Contanescu, że jak zawiadomił ją Herter, nie przeprowadzono wszystkich zabiegów sanitarnych a mianowicie nie wstępiono na okręcie szczurów. Podniosłem następnie, że na statku niema już zgoła żywności, wobec czego wśród pasażerów rozpoczyna się głód. Pani Contanescu odpowiedziała, że żywieniem pasażerów mogłaby się zająć sama, posiadając pewien zapas żywności, ale tego nie uczyni, ponieważ sprawa aprowizacji została przez Ententę powierzona władzom francuskim. Wezwała wtedy dwóch oficerów marynarki, którzy oświadczyli, że z żywienia nic być nie może, bo władze francuskie nie posiadają dostatecznych zapasów. W tem miejscu wyjaśniłem, iż w danym razie nie chodzi nam o dostarczenie żywności za darmo, lecz o pozwolenie nabycia takowej za gotówkę. Twarda pani Contanescu pozostała jednak nieugięta. Bezskuteczną też okazała się moja prośba wystosowana do Hertera o pozwolenie pójścia do miasta dla zakupu pożywienia dla pasażerów. Prosiłem wtedy Hertera, aby bodaj po zwolił za swoim pośrednictwem nadać depeşe do misji Państwowego Urzędu JUR w Galacu o przyspieszenie pociągu do Polski.

Wnet po powrocie z jachtu na pokład „Rumiancewa“ przybył tam miejscowy agent Ruskiego Towarzystwa Żeglowni i Handlu Szpaczek, który podjął się aprowizacji statku, jak się jednak okazało dość bezskutecznie.

Dnia 25 stycznia agent Szpaczek doręczył mi otwartą przez rumuńskie portowe władze depeszę polskiej misji JUR w Galacu, w której kapitan Sztobryn donosi, że pociąg polski oczekiwany jest tam z dnia na dzień, w razie zaś gdyby „Rumiancew“ przybył przed nadejściem pociągu z Polski, wówczas pasażerowie będą przewiezieni w rumuńskich wagonach towarowych.

Wszystko to nie interesowało jednak Rumunów, którzy przyjęli teraz ton agresywny i jeszcze więcej cyniczny. Ujawnił się on przede wszystkim w tem, że tegoż dnia wieczorem Szpaczek zakomunikował kapitanowi statku Aleksiejewowi, iż rumuńskie władze za jego pośrednictwem rozkazują, aby statek odpłynął w przeciagu 24 godzin do Odesy, grożąc w przeciwnym razie użyciem środków represyjnych do ostrzeliwania włącznie, od danego zaś momentu zakazują dostarczać statkowi żywności. Wówczas por. Foster zażądał potwierdzenia tego rozkazu na piśmie, a znajdujący się na statku dwaj angielscy poddani, Word i Douglas, wysłali przez Szpaczka list do miejscowego angielskiego konsula z prośbą o widzenie się z nim. List ten, jak się okazało dnia następnego, został Szpaczkowi przez Rumunów skonfiskowany.

Dnia 26 stycznia rano komendant statku otrzymał od Hertera list urzędowy, w którym tenże donosił, że statek „Rumiancew“ jako wiozący uchodźców z Rosji nie może być przepuszczony do Galacu, wobec czego winien odejść niezwłocznie do Odesy.

W odpowiedzi wystosowałem wtedy do Hertera list, w którym podkreśliłem okoliczność, iż pasażerowie znajdujący się na statku „Rumiancew“ zawierzyli słowom przedstawicieli rumuńskich i zostali wysłani na podstawie

porozumienia się ministra upelnomocnionego polskiego Dr. Jodki z delegatem rządu rumuńskiego w Konstantynopolu Papacostą, oraz, iż władze rumuńskie w Galacu gotowe są przecieź przesłać uchodźców polskich do granicy jak to wypływa z depeszy kapitana Sztobryna. Zapytywałem również, kiedy statek „Rumiancew“ będzie do Galacu wysłany.

Na ten list odpowiedzi już nie otrzymałem, natomiast po jakimś czasie na statku zjawił się oficer rumuński z ustnym rozkazem niezwłocznego odpłynięcia statku. Oficerowi temu zakomunikowane było kategoryczne żądanie porucznika Fostera dostarczenia mu formalnego dokumentu z motywami odmowy przepuszczenia do Galacu statku, który tam się udawał także po medykamenty dla Odesy, oraz żądanie wyżej wspomnianych angielskich poddanych widzenia się z ich konsulem.

Jakoż po upływie godziny do statku „Rumiancew“ podjechał konsul angielski Marchall w towarzystwie Hertera. Zwróciłem się do Marchalla jako przedstawiciela Ententy i przedstawivszy mu moje dokumenty prosiłem o poparcie moich starań o przepuszczenie mnie do Polski, wobec trudności jakie w tym względzie czynią mi Rumuni. Następnie zwracając się do Hertera oświadczyłem mu, iż robię władze rumuńskie w jego osobie odpowiedzialnemi za zatrzymanie mnie w drodze, zwłaszcza, że wiozę niezmiernie pilną pocztę do Warszawy, i to w czasie, kiedy Polska walczy nie tylko o swoją sprawę, lecz także całej Ententy. Jednocześnie wyraziłem wątpliwość, czy wogóle wysłana była do Bukaresztu depesza z zapytaniem o przejazd kurjerów dyplomatycznych, na co Herter dał kilkakrotnie słowo honoru, iż depeszę wysłał i nie umie wytłómaczyć przyczyny braku odpowiedzi. Zażądałem następnie wysła-

nia mojej depeszy w tej sprawie do poselstwa polskiego w Bukareszcie. Herter z początku wzbraniał się tę depeszę przyjąć, obiecując przyśłać po nią później, lecz wskutek interwencji Marchalla ustąpił i przyrzekł niezwłoczną jej ekspedycję. Wobec tego, że statek „Rumiancew“ ostatecznie miał odpłynąć o godzinie 5 rano dnia następnego, a do tego czasu odpowiedź na moją ostatnią depeszę do poselstwa nadejść nie mogła, domagałem się pozwolenia przejścia na okręt „Constantinopoli“, stojący od poprzedniego dnia na kotwicy obok „Rumiancewa“. Herter odpowiedział, że musi uprzednio zapytać komendanta statku „Constantinopoli“, czy życzę sobie przyjęcia mnie na swój statek. Kiedy jednak zakomunikowałem mu, iż jestem pasażerem tego statku, gdyż odbywałem na nim podróż z Konstantynopola do Constanzy przez Odesę, gdzie ze względu na pośpiech przesiadłem się na statek „Rumiancew“. Herter odmówił mi pozwolenia, twierdząc, że okręt „Constantinopoli“ również nie otrzyma pozwolenia odpłynięcia do Galacu i wobec tego jeszcze tegoż wieczora będzie odesłany do Warny lub Konstantynopola.

Por. Foster i komendant statku w obecności konsula Marchalla przedstawili rozpaczliwe położenie głodzonych pasażerów, wypływające z wydanego zakazu dostarczania im żywności, na co Herter obiecał żywność przysłać. Rzeczywiście w 2 godziny później przez panią Constantescu zostały przysłane produkty amerykańskie.

W tym czasie o godz. 3 minut 25 popołudniu, stosownie do zapowiedzi, bawiącego poprzednio na „Rumiancewie“ oficera rumuńskiego z opodal stojącego statku wojennego rumuńskiego dano armatni strzał ślepym ładunkiem jako uprzedzenie, iż nasz okręt będzie ostrze-

lany, jeżeli się nie podda rozkazowi opuszczenia portu, do czego zresztą były już poczynione potrzebne przygotowania.

Dnia 27 stycznia o godzinie 7 rano statek „Rumiancew“ odpłynął z Suliny z powrotem do Odesy. dokąd przybył tegoż dnia o godzinie 5 wieczorem. Szczęście, że miał dostateczny zapas węgla zabranego z portu odeskiego.

Po przybyciu do Odesy statek otoczyła straż, a o godzinie 10 wieczorem przybył na jego pokład oddział rosyjskiego wojska, złożony z 4 oficerów i 12 żołnierzy w celu przeprowadzenia jak najściślejszego sprawdzenia dokumentów pasażerów i ustalenia ich osobistości. Owi oficerowie zakomunikowali mi, iż badanie zarządzone zostało przez miejscowe władze wojskowe na skutek wiadomości, otrzymanej od Rumunów, iż na statku znajduje się dużo bolszewików.

Czynność rozpoczęto niezwłocznie. Dowodzący oddziałem pułkownik gwardji i jeden z jego pomocników kapitan gwardji Bielaniński — Bielawski byli zupełnie pijani. Z pomiędzy jadących wybierano prawie wyłącznie Żydów i pomieszczano ich w sali jadalnej statku. Zatrzymanych popychano, jednego z nich dwa razy uderzono po twarzy. Wymyślano im.

Przy sprawdzaniu dokumentów byłem przez cały czas obecny. Również przeglądałem bardzo szczegółowo dokumenty zatrzymanych.

O godzinie 4 rano 28 stycznia badanie skończono, przyczem nikogo nie zaaresztowano i ustalono, że papiery wszystkich jadących były w zupełnym porządku, a na statku żadnych osób nielegalnie jadących nie znaleziono.

Tyle słów raportu Kurnatowskiego.

Dla dopełnienia jego relacji dodam, że przybywszy osobiście na statek w nocy z 27 na 28 stycznia w towarzystwie zbrojnego oddziału

polskiego i zauważywszy cały proceder dokonywanej przez pijanych rewizji, zwróciłem uwagę oficerów rosyjskich, iż nie kwestjonując ich praw nadzoru, nie ścierpię przecież złego traktowania obywateli polskich, a także, że wszyscy oni mają dokumenty w porządku, bo przed wyjazdem okrętu do Suliny były raz jeszcze sprawdzone na pokładzie przez urzędników konsulatu. Dla wszelkiego bezpieczeństwa i nacisku zostawiłem też w porcie w pobliżu „Rumiancewa“ zbrojny pluton z jednym karabinem maszynowym i przyrzekłem w razie potrzeby natychmiastową pomoc dalszą. Oddział miał interweniować jednak dopiero wtedy, gdyby Rosjanie dopuszczali się jakichś gwałtów. W miejscowych warunkach spodziewać się można było bo wiem nawet rzeczy jak najgorszych, nie wyłączając zabójstw. Wszak to były już ostatnie dni denikinowskiej Odesy, a armja bolszewicka stała w odległości niecałkowicie 100 klm. od miasta. Rozprężenie było zupełne. Każdy robił co chciał i każdy mógł być sędzią i wykonawcą zarządzeń, jakie uważał za najlepsze, albo ku jakim nęchał się jego instynktu.

Na szczęście do żadnej walki nie przyszło.

Tej samej nocy poleciłem innemu uzbrojonnemu oddziałowi polskiemu wyszukać w mieście odpowiednie lokale na „pomieszczenie nieszczęśliwych 400 pasażerów „Rumiancewa“ dostarczyłem im natychmiast kilka wózków żywności i wydałem zarządzenie co do transportu ich bagaży. Dla zapewnienia bezpieczeństwa ulicznego zwłaszcza między portem a miastem, wystawiłem tej nocy po raz pierwszy strażę uliczną, które od tego czasu aż do wyjścia mojego z Odesy co noc patrolowały w stronach, gdzie gęściej mieszkali Polacy.

Co to były za oddziały wojskowe polskie, które mi rozporządzałem, wyjaśnię w toku dal-

sze go opowiadania, teraz zaś dodam w formie dość usprawiedliwionego przypuszczenia, że właściwymi aranżerami całej afery z „Rumiancewem“ w Sulinie byli Niemcy, którzy w Odesie utrzymywali jakąś tajną misję wywiadowczą, operującą zdaje się przy nieświadomej pomocy szwedzkiego konsulatu i szwedzkiego Czerwonego Krzyża, względnie sekretarza tej instytucji, Leopolda Ernestowicza Markgrafa. Oficer łącznikowy rumuński przy komendzie Armji Ochotniczej w Odesie, porucznik Stefan Georgescu, mógł podać władzom rumuńskim, podsunętą mu wiadomość o rzekomych bolszewikach, przemykających się do Rumunii pod firmą polską i za polskimi paszportami, a one na rozkaz ministerstwa wojny postąpiły tak bezwzględnie. Osławiona rumuńska „brigada siguranta“ (biuro bezpieczeństwa) najprawdopodobniej nie była tu czynną, a w każdym razie nie dała inicjatywy do tego wszystkiego, co czyniono w Sulinie.

Poza tem cała sprawa mogła jeszcze mieć głębszy podkład polityczny. Może Rumunom chodziło o stworzenie faktów dokonanych, gdy idzie o deltę Dunaju. Patrzą oni krzywem okiem na umiędzynarodowienie tej arterji komunikacyjnej i chcieliby, posiadając obecnie oba jej brzegi, uznać Dunaj na pewnym odcinku za rzekę rumuńską. Sposobność zaznaczenia tego stanowiska wobec Amerykanów była zbyt kusząca, aby jej nie spróbować. Że tak się rzecz mieć mogła, da się i stąd wnioskować, iż sprawą „Rumiancewa“, podczas jego 6-dniowego postoju w porcie rumuńskim, bardzo interesowały się centralne władze bukareszteńskie, będące z Sulina w ożywionym związku telegraficznym, przy czem w miarę upływu czasu zaostrzało się stanowisko władz portowych.

List poselstwa polskiego w Bukareszcie z dnia 2 lutego przypisuje postępek Rumunów z „Rumiancewem“ nieporozumieniom pomiędzy poszczególnymi organami władz rumuńskich lub między temi ostatnimi a dowództwem statku, które znajdowało się w ręku amerykańskim. Wszak zdarzyło się było w Sulinie, że szef misji amerykańskiej zażądał od władz rumuńskich, wskazując na zegarek, aby przed upływem pół godziny zjawił się ich główny reprezentant. To był kolosalny nietakt, który i Amerykanom nie mógł ujsć płazem.

Po wypadku z „Rumiancewem“ poselstwo bukareszteńskie wysłało do Suliny A. Colonnę Walewskiego dla sprawowania tam funkcji opiekuńczych i pośredniczących między rapatryantami, a władzami rumuńskimi. Warszawa przecież i nadal nie udzielała pomocy ani pieniężnej, ani personalnej.

IV.

Przed przyjściem bolszewików. Formacje straży konsularnej.

Denikinowska Odesa dożywała ostatnich swoich dni. I choć gazety milczały zawzięcie o tem, co się na „froncie“ działo, wiedzieliśmy wszyscy, że frontu żadnego nie było, lecz tylko chaotyczna ucieczka zdemoralizowanych oddziałów ku Odesie. Zresztą do woli słyszeliśmy o tem także z ust oficerów rosyjskich, z którymi konsulat utrzymywał stosunki. Bardzo cenne wiadomości znosił również dziennikarz Kelnicz, a jeszcze cenniejsze były te, jakie odbierała lub jakie nadawała rosyjska radjostacja wojskowa, z której obsługą udało się nam nawiązać jak najściślejsze stosunki.

Wszystko potwierdzało, że nadchodzi „dies ille, dies irae“, dzień pomsty i wszelkich okropności, które nierozłącznie były związane z wkro-

zeniem wojsk bolszewickich. Z rąk żydowskich drogą pośrednią udało się nam otrzymać także część listy skazanych na natychmiastowe zamordowanie. Było tam nieco nazwisk polskich, głównie jednak rosyjskie, wśród których zdaje mi się, że na pierwszym miejscu sterczał redaktor Kelnicz, nieco niżej biskup katolicki Kessler.

Tym, którzy mieli za sobą przeżycia Wojny Światowej, mówiło nadto bardzo wiele samo tylko oko, a zatem ruch biegających po mieście w tempie wyścigowym automobili, ciągle przemarsze jakichś oddziałów, prowadzących poranione lub wynędzniałe konie, a złożonych raczej z żebraków niż z żołnierzy, ściąganie się do portu różnych statków, na które szczególnie w nocy ładowano moc wojskowego sprzętu itd. Owa atmosfera ewakuacyjna nabywała poza tem w Odesie jeszcze specjalnych cech lokalnych. A zatem w rynsztokach widziało się więcej niż dawniej walających się trupów ludzkich, ogryzanych przez psy, nocną porą po bocznych ulicach snuły się oddziały dzikich, zdemoralizowanych wojowników w papachach na głowach, mordujące każdego, kto wydawał się im godnym obrabowania, gromady brodiagów portowych, coraz śmielej i szerzej rozgaszczaly się po placach i eleganckich ulicach ogromnego miasta. Spotkać je można było nawet na Jekateryńskiej, Dierybasowskiej, Puszkińskiej, Ryszelskiej i arterjach sąsiednich. Niepokoiła też bardzo postawa kroci tysięcy żydostwa, zwłaszcza żydowskiej młodzieży, po której widać było, że uprawia jakieś zmywy i schadzki.

Konsulat polski pilnowany dniem i nocą przez silny oddział straży konsularnej z karabinami maszynowymi, zwłaszcza od czasu, kiedy raz wraz po zapadnięciu zmroku zaczęły się rozbijania zamkniętych bram wchodowych granatami ręcznymi, roił się od tłumu interesen-

tów. Tłoczyli się oni zwłaszcza w obszernych jego sieniach i dużej sali ogólnej. Słyszeć było można w tej mieszaninie wszystkie języki, obok polskiego przeważnie jednak rosyjski. Bywali tam generałowie Armji Ochotniczej, znani działacze rosyjscy, dyrektorzy banków, profesoro- wie uniwersytetu i inni. Przypominali sobie wszyscy babki, prababki, pradziadków Polaków, aby złożyć dowód, że się jest w gruncie rzecz polskiego pochodzenia, a tem samem, że się ma prawo do polskiego obywatelstwa i paszportu. On bowiem jeden w warunkach chwili za pewniał wyrwanie się z piekła odeskiego. Rumu- ni z papierami rosyjskimi nie pozwalali zgoła nikomu przekraczać granicy.

Niestety musiałem odmawiać i nie pomaga- ło nawet wstawiennictwo głównie dowodzącego wojskami generała Szillinga. Przypuszczam, że podobnie byli nagabywani także konsulowie innych państw, którzy też to samo pewnie czynili co i ja, o ile rzecz jasna, znajdowali się jeszcze w Odesie. Podnoszę tę okoliczność dla- tego, że na owe chwile wypadła właśnie jak najwvsza akcja ewakuacyjna, zorganizowana przez rządy państw innych. Przypływały raz wraz statki greckie, francuskie, włoskie, nawet tureckie, które zabierały ewakuujących się oby- watełi swych państw i wraz z konsulatami wy- woziły z Odesy. Konsul włoski, zdaje się, czas jakiś urzędował na statku. Angielski bawił jesz- cze w mieście, lecz pod osłoną wysadzonych na- lad 20 żołnierzy angielskiej piechoty marynar- skiej.

Z zgłaszających się o papiery polskie cu- dzoziemców potraktowałem wyjątkowo, podda- nego rosyjskiego, biskupa katolickiego ks. Jó- zefa Kesslera, przebywającego podówczas w Odesie. Czując się Niemcem i popierając swego czasu Denikińców przeciwko bolszewikom

przez urabianie na rzecz Armji Ochotniczej nastrojów ludności w licznych kolonjach niemieckich, rozsianych po południu Rosji, rozumiał doskonale, że pozostanie na miejscu równało się dla niego wydaniu na siebie wyroku śmierci. Zwracał się przeto wszędzie o wybawienie go z przykrego położenia, ale napróżno. Ostatecznie został mu jeszcze tylko konsul polski. Prosić go atoli o pomoc było Kesslerowi szczególnie nieswojsko, bo całe życie ciężko polskość prześladował. Gdy innego jednak ratunku nie było, posłał do mnie swych kanoników i przedstawił całą grozę sytuacji. Wychodząc z założenia, że Polska sprawuje opiekę nad katolicyzmem w Rosji, dałem mu potrzebne papiery, na podstawie których wraz z częścią swojego otoczenia dostał się do Rumunji, gdzie dotąd zda je się jeszcze przebywa. Dłuższy czas bawił w Tarutinie, akermańskiego powiatu, wśród tamtejszych Niemców kolonistów, w towarzystwie proboszcza odeskiego, ks. Andrzeja Kelera, po którym duszpasterskie funkcje w Odesie objął nieustraszony i przezacny kapłan ks. Sokołowski.

Tłumnie zwracali się także o ratunek Niemcy koloniści, którzy na pobrzeżu i w pasie przeszło stukilometrowym wzdłuż dolnego Dniestru zamieszkiwali szereg kwitnących osad, jak Grossliebenthal, Kleinliebenthal, Alexanderhilf, Neuburg, Marienthal, Franzfeld, Peterthal, Mannheim, Elsass, Baden, Strassburg i inne. Im niestety, mimo, iż na to zasługiwali, choćby tylko z racji poprawnego stanowiska wobec 10 miesięcy poprzód przechodzących tędy oddziałów generała Żeligowskiego, z wielu względów dużo pomóc nie mogłem, a w każdym razie mniej niż małopolskim Rusinom. Ci urodzeni w granicach Rzeczypospolitej, o ile wobec Polski nie mieli jakichś specjalnych grzechów na su-

mieniu, opatrywani byli przezemnie dokumentami polskimi i traktowani na równi z resztą obywateli polskich.

Źle i to na najbliższą już przyszłość wróżyła okoliczność, że pod Odesę ścigały wielkie okręty wojenne. Obok włoskiego kolosa „Piza“, wyglądającego z brzegu jak zamek na wodzie, nieco dalej ku wschodowi stały w oddali olbrzymy angielskie. Chodziło tylko o to, co one zrobią i co zrobić potrafią, a przedewszystkiem, czy zamierzają bronić Odesy, czy też w krytycznym momencie lukną sobie parę razy i wyjadą. Osobiście nie wierzyłem zgoła w skuteczność ich akcji od strony morza, skoro na lądzie w dalszym ciągu będzie się dziać to, co dotąd.

Podobne refleksje musiały widać trafić i innych mieszkańców Odesy, a przedewszystkiem zarząd miasta, skoro 30 stycznia zwrócił się on do mnie z prośbą o przyjęcie udziału w naradzie nad czemś w rodzaju obrony pozycji odeskiej. Było to zaś tem osobliwsze, że formalnie rządził jeszcze generał Szilling. Widać, iż wrecz oświadczył, żeby miasto robiło od tej chwili to, co chce.

Zdając sobie dokładnie sprawę, mimo obronności Odesy, z wielkości zadania i ani chwili nie łudząc się co do tego, żebym tem, co miałem i co ewentualnie mieć mogłem, był w stanie zaważyć na szali w dziele obrony miasta, raczej dla zaspokojenia ciekawości niż dla jakiegoś działania wysłałem kilku oficerów na wspólną naradę z czynnikami miejskimi. Ci po długich konferencjach raz jeszcze skonstatowali u zdemoralizowanych Odesytów zupełną niechęć do prawdziwych ofiar z życia i mienia, które są podstawą każdego zbiorowego czynu wojennego i wyszli z tego towarzystwa ludzi pragnących ratunku, ale nie myślących ani palcem kiwnąć, aby on się zjawił. Byli zdania, że

wszyscy mają obowiązek ich bronić i Anglicy i Włosi i Rumuni, a nawet konsul polski z garścią jego ludzi, tylko nie oni sami.

Tu powinienem szerzej wyjaśnić, skąd się wzięła taka propozycja uczyniona właśnie konsulowi polskiemu, nie zaś np. angielskiemu, który dotąd jeszcze na lądzie bawił. Oto pochodziło to stąd, iż w owych chwilach krytycznych rozporządzałem zbrojnym oddziałem, wprawdzie niedużym, ale zdaje się jedynym w Odesie, mogącym uchodzić tu jeszcze za coś w rodzaju wojska, posłusznym, nie rabującym i dającym gwarancję, iż w danym razie zechce odważnie stanąć do rozprawy orężnej. Była to t. zw. Straż Konsularna, której potem tak wiele zawdzięczaliśmy i bez której nawet nie mogło być mowy o wydobyciu tyłu obywateli polskich z zagrożonej Odesy.

Początki „straży“ czyli jak się jej członkowie wyrażali „oddziału formacji konsularnej“, sięgały jeszcze listopada 1919 r. Wtedy to, wnet po przybyciu mojem do Odesy i po objęciu funkcji konsula, spostrzegłem, iż bez pomocy zbrojnej niema mowy o spokojnem urzędowaniu. Nająłem wówczas trzech ludzi, których uzbroiłem i którym poleciłem pilnowanie ładu wewnątrz budynku. W miarę rozrostu czynności konsularnych zwiększała się także liczba straży, najpierw do 5 osób, potem do 10, a wreszcie do 26 a nawet 30. Wszyscy prawie byli zawodowymi żołnierzami, mającymi za sobą przeżycia i doświadczenia Wojny Światowej, wszyscy fizycznie mocni i zdrowi, wszyscy związani z konsulatem jak najściślej bodaj nadzieją, że przy jego pomocy wydostaną się z Odesy i wrócą do Polski. Odziani w resztki mundurów rosyjskich, nagiętych przez nich do form polskich i z dumą noszący, budzące powszechny respekt, czapki krojem polskim, poszyte

przez czapkarzy odeskich, robili na zewnątrz wrażenie nie najgorsze. Niektórzy, zwłaszcza ci, co służyli w formacjach polskich, zdobywali się na frenca i płaszcz, używany w armji polskiej, ale takich było mało, bo wszyscy najczęściej żyli tylko z tego, co mogli im dać w postaci bardzo skromnego żołdu. Mieszkali przeważnie razem, niedaleko od konsulatu, co pozwalało znowu na szybkie zwołanie w razie potrzeby. Uzbrojenie stanowił karabin rosyjski¹⁾.

Na okół tej grupy zbrojnych i stale opłacanych ludzi uformował się powoli oddział, liczący około 200 ludzi z blisko 40 końmi, 5 wozami, karabinami maszynowymi etc. Konie były niemal wszystkie prywatną własnością, z wyjątkiem kilku nabytych okazyjnie wraz z wozami przez konsulat na wypadek pieszej ewakuacji na Owidiopol. Wozy byłyby wtedy nieodzownie potrzebne do przewozu archiwów i zabrania tych osób, które nie potrafiłyby przejść 40 km piechotą. Ludzie z tak powiększonej Straży Konsularnej, poza owymi 30, nie pobierali stałego żołdu. Byli to zupełnie biedni żołnierze i oficerowie, którzy służyli niegdyś w formacjach polskich albo obecnie w rozsypanej się Armji Ochotniczej. Zgłosili się oni u polskiego komendanta etapu przy konsulacie, ale

¹⁾ Oto nazwiska oficerów i żołnierzy: Godlewski Mikołaj kapitan, Wesolucha Józef, Juszkievicz Bronisław, Lisecki Mikołaj porucznicy, Karczewski Stanisław, Kieruzel Stanisław, Paklewski-Kozieleń Antoni, Luljanzen Jan, Pawłowicz, Kamiński Bronisław. Poletyło. Eismond Kazimierz podporucznicy, Trylewicz Robert, Cichocki Andrzej, Defus Władysław, Guzowski Michał, podoficerowie, Szczepkowski Mamert, Szabelski Jan, Świrski Antoni, Strojanowski Marjan, Chebdowski Józef, Siedmiukiewicz, Radomski Bronisław, Gałga Franciszek, Lisowski Leonard, Faszczewski Kazimierz, Modzelewski Mikołaj, Deluk Szymon, Szkoda Zygmunt żołnierze, Kobic Alexander urzędnik wojskowy.

nie mogli do Polski wyjechać, bo nie mieli środków i sposobności. Otrzymywali teraz od czasu do czasu odemnie nieduże zapomogi, wreszcie w chwili wyjścia konsulatu z Odesy wzięci zostali całkowicie na jego utrzymanie. Wielu z pomiędzy nich, trzeba było obuć i odziać, bo z głębi Rosji uciekli tylko w łachmanach, często po najstraszniejszych przejściach. Dość powiedzieć, że między innymi do oddziału wcieliłem 6 żołnierzy, będących pozostałością po sporej grupie około 300 partyzantów, która wyszła z Kijowa z początkiem grudnia 1919 r. przy ogólnej ewakuacji i po blisko dwumiesięcznym marszu dotarła do Odesy. Wszyscy inni, o ile gdzieś nie rozbiegli się, zginęli w boju, od ran, głodu, zimna i tyfusu.

Konsulat w tym razie przeto organizował i utrzymywał ludzi w karności, skłaniając ich do oddawania ważnych usług publicznych, a z drugiej strony spełniał funkcje opiekuna na obczyźnie.

Cała ta praca działała się w zasadzie za pozwoleniem naczelnego wodza wojsk kraju Noworosyjskiego generała Szillinga który oświadczył mi swego czasu, że nie jest w stanie zabezpieczyć obywatelom polskim spokoju, pozwolił na organizację zbrojnego oddziału. Pozwolenie to otrzymaliśmy na piśmie. Najprawdopodobniej gen Szilling nie liczył się z tem, że tak szybko porośniemy w siły.

Komendę oddziału oddałem Gustawowi Makowieckiemu, który na kilka tygodni przed moim wyjściem z Odesy zjawił się u mnie w konsulacie w mundurze oficera wojsk polskich. Legitymował się jako rotmistrz, opowiadając, że jedzie z Polski, aby załatwić swe interesy finansowe. Poza tem znalazło się wiele osób w Odessie, które pamiętały go z czasów dawniejszych, a mianowicie z okresu IV dywizji gene-

rała Żeligowskiego i nie wspominały źle. Człowiek energiczny i pilny, a przytem chwilowo najwyższy na miejscu rangą oficer polski, wydawał mi się zupełnie odpowiednim do kierowania oddziałem. I pod tym względem nie zawiodł mnie zgola, szczególniejszego zaś podkreślenia domaga się jego odwaga, rezolucja i zmysł praktyczny.²⁾

Byli oficerowie wojsk rosyjskich, wchodzący w skład oddziału, tytułowani byli według rang, jakie posiadali poprzednio, zresztą zaś pełnili przeważnie obowiązki zwykłych szeregowców. Z oficerów więcej zasłużonych zasługują na wymienienie: Jerzy Suchorski, podporucznik, Henryk Starczewski podporucznik, Tomasz Dobrzański rotmistrz, Włodzimierz von Junk lekarz, Władysław Weber porucznik, Bronisław Kamiński porucznik, Ludwik Marciniak podporucznik, Mikołaj Godlewski kapitan, Hryckiewicz kapitan, Eismond kapitan, Wacław Scheitz, porucznik czy podporucznik oraz kilku innych, których nazwisk niestety już nie pamiętam. Żołnierze bez wyjątku karnościami i oddaniem się sprawie imponowali. Tak samo też zachowywali się Łotysze i Estowie, gdyż z racji sprawowania nad temi narodowościami w Odesie opieki konsularnej wcieliłem pewną ich grupę w szeregi Straży. Przypuszczam, że około 30, wszystko doświadczonych żołnierzy,

²⁾ Nie uchroniło go to jednak od przykrych przejść po powrocie do Polski, gdzie czyniono mu różne zarzuty. Byli tacy, którzy twierdzili, że nigdy nie był rotmistrzem wojsk polskich, a inne oskarżenia godziły wprost w jego cześć jako człowieka, zdaje się bezpodstawnie, bo wszystko mimo pilnego badania a nawet prowadzonego przez niego śledztwa wojskowego, skończyło się zwolnieniem Makowieckiego. Fatalną przysługę, jak to u nas często bywa, oddała Makowieckiemu nasza prasa, podając przedwcześnie podsunięte jej, a niestwierdzone informacje o jakichś jego przewinieniach.

którym oddałem obsługę karabinów maszynowych. Miałem ich pięć.

V.

Układy z generałem Szillingiem o wydzierżawienie Polsce lewego brzegu limanu dniestrowego. — Postanowienie opuszczenia Odessy.

Agonja władzy Denikina w Odessie i na półwyspie mogła być jeszcze całe tygodnie, lub też skończyć się zupełnie nagle. W danym momencie zależało to tylko od tego, co poczną bolszewicy, bo nikt nie wierzył, żeby z wnętrza Armji Ochotniczej wydobyć się mogła, po tem, co zaszło, jakaś nadzwyczajna siła, któraby na szali wypadków była w stanie zaważyć.

Organizując przeto swój oddział Straży Konsularnej nie kładłem sobie żadnej specjalnej mety ani co do jego liczebności, ani też co do ewentualnego użycia. Widziałem tylko, że każdy dzień przynosił mi wzmocnienie, a zresztą zaczęła już działać naokół wieść o nowo zawiązującym się oddziale polskim. Szybko obleciała ona całe rosyjskie półwyspie, tak, że nawet wychodzący w Noworosyjsku „Czernomorski Wiestnik“ umieścił wiadomość o współdziałaniu wojsk konsula polskiego w Odessie z Armją Ochotniczą.³⁾ Mogłem liczyć, że gdy bolszewicy nie będą się bardzo spieszyć, narosną powoli do bataljonu, pułku, a może i brygady, przy czem zajmując okolice Odessy, nie znajdę się w zbyt dużym kłopotcie ani co do tego, w co oddział ubiorę, ani czem go wyżywię, ani też co mu dam w rękę. Broni zwłaszcza było poddostatkiem

³⁾ Wiadomość udzielona mi przez Józefa Gieburowskiego, współpracownika konsulatu noworosyjskiego, dziś wicekonsula w Kwidzynie.

i w arsenałach i wśród zdemoralizowanych resztek Armji Ochotniczej, która po kątach sprzedawała ją nawet żydom. Przecież zdarzały się takie wypadki, iż pod okna konsulatu zajeżdżały całe baterje, ofiarowując armaty, amunicje i konie na sprzedaż. Pamiętam raz taki przetarg, który z oficerem, dowodzącym baterją, prowadził sekretarz konsulatu Grabiński. Gdy stanęła przed oknami naszego urzędu, żołnierze rzucili się do porządkowania upręży na koniach i do czyszczenia kół z błota, aby patrzącemu z okna konsulowi całość przedstawiała się jak najlepiej, oficer zaś zgłosiwszy naszej straży cel swego przybycia, wszedł do konsulatu w celu dobicia targu. Żądał, o ile sobie przypominam, 20 000 rubli carskich za całość, a zatem konie, armaty, jaszczyki i naboje coś po 100 na działo. Nie nabyliśmy przecież tego sprzętu wojennego, bo nie mieliśmy na razie dosyć obsługi artyleryjskiej, a zresztą liczyliśmy, że w razie potrzeby weźmiemy każdej chwili od Denikińców wszystko, co będziemy chcieli, i to bez żadnego z ich strony oporu. Bowiem nie przy zachowaniu broni krążyła ich myśl, ale przy możliwościach wydobycia się z matni. Przed nimi szumiało burzliwe morze, ścięte po brzegach, potężną taflą lodu, a z tyłu stał groźny i bezlitosny wróg.

Jeżeli tak mało kłopotali się Denikińcy o broń, to tem mniej rzecz prosta chodziło im o ziemię, na której stali. Wykorzystując przeto ten ich nastrój i nie wiedząc jak się wypadki ułożą, zwróciłem się był, po poprzedniej, nieobowiązującej konwersacji za pomocą osób trzecich, dnia 25 stycznia wprost do głównodowodzącego generała Szillinga z propozycją oddania Rzeczypospolitej Polskiej w formie długoletniej dzierżawy skrawka terytorjum na zachód od Odesy, między brzegiem morskim, limanem

Dniestru, a uchodzącym do morza potokiem Barabaj, wypływającym w odległości pięćdziesięciu kilku kilometrów w okolicach niemieckiej kolonii Mannheimu. Na północy granica terytorjum iść miała znacznie na południe od wsi Bielajewki, pod którą znajdowała się stacja wodociągów odeskich i omijać cały lewy brzeg Dniestru, płynącego środkiem jezykowatego półwyspu, wchodzącego głęboko w środek limanu. Długość terytorjum, rozciągającego się w ten sposób naksztalt pasa w tym samym kierunku co i liman Dniestru, tj. od północnego zachodu ku południowemu wschodowi, wynosiła mniejwięcej 30 klm., a szerokość 10 do 12, powierzchnia zatem około 300 km². Gdy rozchodziło się o bezpieczeństwo, to zdawałem sobie sprawę, że sytuacja pozostawiała wiele do życzenia, szczególnie po stronie wschodniej nad potokiem Barabaj i po północy od wsi Majaki,⁴⁾ z dwóch atoli innych boków, tj. od zachodu i południa uważałem położenie za dość niedostępne. I to ważne, że za limanem na zachód siedzieli już Rumuni. Ziemia przeważnie bardzo urodzajna. W północnej części znajdowała się ona w ręku kolonistów niemieckich, którzy rozwinęli tu postepowe rolnictwo. Okolice w pobliżu południowego cypla (Karolina Bugas) nadawały się znakomicie do uprawy wina. Tam też były urządzenia do eksploataowania soli. Wszędzie kwitł chów owiec. Do terenu doprowadzono z dwóch stron kolej z Odesy i Akermanu. W razie zajęcia także małego skrawka ziemi po lewej stronie potoku Barabaj na wysokości Owidiopola, kolej żelazna przecinałaby nieprzerwanie całą południową część terytorjum, tworząc oddzielną całość wobec kolei ru-

⁴⁾ Tędy przeprowiała się do Rumunii część oddziałów Żeligowskiego w kwietniu 1919 r.

muńskich i rosyjskich. Tory kolejowe, pominiawszy drobne zreszta uszkodzenia koło Bugasu, były w stanie zupełnej używalności. Nie licząc futorów, na powierzchni terytorjum znajdowało się około 10 wsi i miasteczek Owidjopol.

Gdy rozchodziło się o dostęp od strony morza to wszystko prawie było tu jeszcze do zrobienia. Zwłaszcza północne „oczakowskie“, zamulone „gardło“ Dniestru nie nadawało się do przepuszczania statków nieco większych, chyba po znacznych robotach oczyszczających. Wskutek tego komunikacja między Limanem, a Morzem Czarnym na razie mogła się odbywać tylko przez „gardło carogrodzkie“, które leży więcej na południe w sferze okupacji rumuńskiej. Miejsce na przystanie na limanie było dożyć. Wreszcie i morze otwarte, oblewające terytorjum od południa, przy sprzyjającej pogodzie umożliwiało ładunek na okręty za pomocą łodzi.

Myślą przewodnią, którą mną kierowała w momencie, kiedy generałowi Szillingowi czyniłem propozycję odstąpienia wyżej omówionego terytorjum była chęć zdobycia dla Polski nad Morzem Czarnym więcej trwałej podstawy do prowadzenia handlu w pobliżu tak ważnego centrum, jakim była Odesa. Rozumowałem, że basen Morza Czarnego po uspokojeniu się ruchów w Rosji stanie się dla naszego przemysłu okolicą niezmiernie ważną. Strony te dostarczać nam mogą wielce potrzebnego surowca (wełny, bawełny via Batum lub Noworosyjsk, rudy manganowej, tytoniu) a także żywności, którą jesteśmy w stanie zdobywać, mieniając nasze wyroby za ukraińskie zboże. Nad Morzem Czarnym sadowią się tymczasem

coraz silniej wszystkie ważniejsze narody Europy i może zająć to, iż, my, którzy do handlu z południem Rosji mamy najwięcej praw historycznych i faktycznych, wyjdziemy z niczem. Nie będziemy w stanie ani kupować tam surowców, ani też zbywać naszej manufaktur i wyrobów żelaznych, bo nie pozwolią nam na to ci, co w basenie Morza Czarnego posiadają już gotowe bazy handlowe i odpowiednio liczną flotę. Miałem wówczas na myśli przedewszystkiem Anglików a w drugiej linii Włochów. Duże interesy mogły mieć wreszcie wszystkie inne narodowości.

Zabezpieczenie sobie na wszelki wypadek bazy nad morzem Czarnem przedstawiało mi się zatem jako coś bardzo cennego.

I tak wyglądałaby ta sprawa nawet w tym razie, gdyby morze Czarne nie było związane z Polską ważną strugą Dniestru. Gdy brałem pod uwagę jeszcze i ten wzgląd, kwestja nabycia terytorjum przy ujściu Dniestru stawała się w moich oczach chyba jednym z ważniejszych postulatów naszego handlu z bliższym wschodem. Tam bowiem tylko, gdzie będziemy u siebie, możemy wygodnie gromadzić rzeką, morzem i lądem dostawiane produkty, nie obawiając się szykan rosyjskiej biurokracji. Przy wytrwałości i rozumnem kierowaniu sprawami, na omawianym przezemnie skrawku ziemi wyrosnąć mogło z czasem emporjum handlowe, które ściągnęłoby ku sobie wiele kapitału oraz dzielnych polskich jednostek, tem bardziej, że nie brak ich w tych błogosławionych przez przyrodę stronach. Wszak stała polska ludność Odesy liczyła 27 000 głów, a w miastach czarnomorskich przebywało jej do 140 000. Żadną narodowość, nie wyłączając Greków, nie mogła się poszczycić tak znaczną kolonją po północnej stro-

nie morza Czarnego. Wszystkie zabiegi handlowe owych licznych rzesz polskich wzmacniały przeciw obcy handel i przemysł, gdyż brak im było naturalnego własnego centrum. Rosła Odesa, Rostów, Noworosyjsk pracą rąk polskich, a często z największą szkodą naszych interesów.

Generał Szilling, któremu to wszystko wyluszczyłem, odpowiednio oświecilszy ze strony racji rosyjskiej, nie podniósł żadnych zasadniczych momentów przeciw, a nawet zdawał się być zadowolonym, że eksport rosyjski nie będzie miał do czynienia tylko z Anglikami i Włochami, ale także ewentualnie z Polską. Nie podobalo mu się tylko to, że uciepieć może Odesa. Gdy wskazałem na odmienną opinie miejscowych sfer handlowych i na okoliczność, że dzierżawa to nie ostateczne odstąpienie kawałka brzegu nad limanem, zgodził się na moje propozycje, zastrzegając tylko obywatelom rosyjskim przystęp do brzegów ze względów rybołówczych a do Dniestru z powodu zaopatrywania Odessa w wodę.

Ostatecznie sformułowaliśmy następujący protokół, który podpisany przez generała Szillinga w imieniu Denikina i przezemnie imieniem Polski miał uzyskać zatwierdzenie odnośnych rządów.

„Jednym z głównych powodów miejscowej drożyzny, upadku wartości rubla, a co zatem idzie i niepewności stosunków finansowych kraju Noworosyjskiego z wszystkimi konsekwencjami tego zjawiska jest brak uregulowanego dowozu i wywozu. Przybywają towary nieraz zupełnie niepotrzebne a nie zjawiają się konieczne. Tak samo jest z wywozem. Bezżyteczne leżą setki tysięcy i miliony pudów surowca, który przy dzisiejszych stosunkach miejscowej fabrykacji nawet za lat kilka w zakładach ro-

syjskich przerobionym nie zostanie, wywozi się zaś rzeczy często najpotrzebniejsze.

W tych warunkach, korzystając z ogólnych pełnomocnictw, danych im przez właściwe rządy, podpisani stwierdzają, że ustalili na stępujące punkty ewentualnie zawrzeć się mającej umowy.

1) Polska na lat kilkanaście obejmuje terytorjum nad limanem Dniestru (po lewym jego brzegu) wraz z miastem Owidiopolem w celu pobudowania tam magazynów, które służyć będą mogły do gromadzenia surowców z całego basenu morza Czarnego a zarazem fabryk, jakie z Polski się tam dostaną;

2) owe terytorjum, mniejwięcej 30 wiorst długie, a średnio 10 szerokie, którego granice całkiem ściśle później zostaną określone, przejdzie, gdy idzie o sprawowanie policji i administracji pod zarząd polski, a po upływie okresu dzierżawy wraz z wszystkimi budowlami i urządzeniami, bez odszkodowania, znowu zwrócone zostanie rządowi rosyjskiemu;

3) Polska opłacać będzie corocznie pewien czynsz, a także zobowiąże się do uszczenia regularnie co 3 miesiące od daty podpisania właściwej umowy połowy wszystkich dochodów z cel wywozowych i przywozowych“.

Prowizoryczne granice wytknęliśmy barwną wstęgą na szczegółowej wojskowej mapie rosyjskiej, której jeden egzemplarz został mi wręczony wraz z ustnem pozwoleniem natychmiastowego objęcia terytorjum, o ile to uznam za potrzebne.⁵⁾ Nawiasem dodaję, że specjalnie ta koncesja wynikała najprawdopodobniej

⁵⁾ Egzemplarz ten wraz z krótkim memorjałem i podpisanym przez gener. Szillinga aktem natychmiast po przybyciu do Warszawy, złożyłem po ustnym raporcie w sekretarjacie Ministra Spraw Zagranicznych, a

stał, iż generałowi Szillingowi wytłómaczyłem że tylko wtedy obrastać mogą w siły wojskowe, które dla walczącej z bolszewikami Armji Ochotniczej nie mogą być obojętne, skoro usadowię się na jakimś oddzielnym, choćby szczupłym terytorjum. Podniosłem i to, iż nie będę wtedy drażnił obecnością polskiego elementu wojskowego ani oddziałów rosyjskich ani ludności miasta, ani wreszcie Anglików, którzy mogą czynić pewne zastrzeżenia.

W okolicznościach, w jakich żyliśmy w Odesie, rzecz prosta, nie spieszyłem się z budową magazynów, ale natomiast wysłałem kilku oficerów z oddziałem straży, aby oglądnęli położenie nad rzeczką Barabaj i zbadali nieco tamtejsze stosunki. Ta jednodniowa wycieczka była zresztą ostatnim naszym krokiem, związanym z terenem owidiopolskim.

Szybko toczące się wypadki zwróciły naszą uwagę w inną stronę i na inne sprawy. Bolszewicy posuwali się ku Odesie w tempie huraganowym i wszystko zapowiadało, iż gdzieś koło 6 lub najdalej 8 lutego wejdą do miasta. Ostatnie podstawy do snucia jakichkolwiek optymistycznych kombinacji choćby tylko na temat opóźnienia się ich zjawienia przysły, a miasta broniła już tylko wąska przestrzeń, leżąca między niemi a armją sowiecką. Zapomniano nawet o zniszczeniu mostów kolejowych.

Ostatecznie musiałem zdecydować się na wyjście z Odesy z tymi wszystkimi obywatelami polskimi, których pozostawienie tam było niemożliwe ze względu na terror bolszewicki, stosowany wszędzie ze szczególniejszą bezwzględnością wobec ludności polskiej.

równocześnie zwróciłem się do kilku posłów sejmowych z propozycją zwrócenia uwagi na sprawę. Wypadki, które zaszły w roku 1920, uczyniły sprawę nieaktualną.

Wyjście z Odesy poprzedziła poufną naradę w konsulacie, zwołaną przezemnie na dzień 31 stycznia 1920 r. Wzięli w niej udział wyżsi urzędnicy konsulatu, delegaci kolonji polskiej, zwłaszcza zaś miejscowych stowarzyszeń, oraz niektórzy oficerowie zarówno ze straży konsularnej, jak i z marynarki handlowej, grupujący się około naszej placówki

Po poinformowaniu obecnych o sytuacji na t. zw. froncie wezwałem ich do wypowiedzenia się w następujących sprawach: czy opuszczać Odesę, z jaką ilością osób, kiedy? Dyskusja ustaliła, że wyjście konsulatu z najbardziej zagrożonymi polskimi obywatelami jest niezbędne, że ilość osób, która winna opuścić Odesę wynosić może 1000 do 1200, a wreszcie, że właściwa chwila opuszczenia miasta musi być trzymana przez konsula jak najdłużej w jak najściślej tajemnicy, aby nie stwarzać paniki i najzupełniejszego rozprzężenia się resztek normalnego życia. Nie można też było opuszczać miasta ani za wcześnie, ani za późno tj. w momencie, kiedy już wszystkie drogi odwrotu zostaną zamknięte, jak to się stało 10 miesięcy poprzód za czasów ewakuowania Odesy przed bandami Grigorjewa. Czerpiąc z tych chwil naukę przestregano też powszechnie przed jakimkolwiek liczeniem na czynniki obce, które teraz zawiodłyby z pewnością jeszcze nieuchronniej niż to było dawniej, gdy w Odesie konsystował bądź co bądź potężny oddział wojsk polskich generała Żeligowskiego, a Ententę nie reprezentowali tak jak obecnie, Anglicy i Włosi, lecz życzliwi nam Francuzi. Ustalono też potrzebę natychmiastowego powołania do życia trzech komisji: drogowej, personalnej i technicznej. Pierwsza miała za zadanie obmyśleć możliwe drogi i sposoby podróży do kraju, personalna zestawić listę ewakuować się mających osób, techniczna

zaś zająć się takimi szczegółami podróży, jak jej bezpieczeństwem, aprowizacją jadacych, opieką lekarską, przewozem bagaży itd. Wszystkich przewodniczącym był konsul.

VI.

Możliwe drogi do Polski. Trudności podróży morzem. Ewakuacja lądem. Przez Rozdzielną, Koczurgany do Tyraspola. Pertraktacje z Rumunami. Polski Czerwony Krzyż.

Dnia 2 lutego rano wydałem w konsulacie polecenie ewakuacji, która miała być uskutecz-nioną do 24 godzin, bo na przeciąganie terminu nie było już czasu. Bolszewicy znajdowali się w odległości około 25 km. od miasta, posuwa-jąc się wzdłuż toru kolei Odesa — Czerkasy.

Miałem 4 drogi do wyboru: morską na Ga-lac lub Constanzę, ewentualnie na Warnę lub Konstantynopol i 3 lądowe, na Akerman (Ceta-lea Alba, Białogród), Tyraspol lub Żmerynkę. Każda z nich posiadała swoje zalety i niedogod-ności, przyczem najwięcej ryzyka przedstawia-ła wprost do Polski wiodąca droga przez Żme-rynkę, bo prowadziła ona na przestrzeni kilku-set kilometrów ciągle przed frontem posuwają-cej się ku Dniestrowi czternastej armji sowiec-kiej. Drogi morskie były zaś zależne od nastę-pujących okoliczności:

a) posiadania odpowiednich statków, co nie było sprawą łatwą wobec faktu, iż wszystkie lepsze i większe zarekwirowane zostały przez Armję Ochotniczą do wysyłki urzędni-ków i instytucji oraz do przewozu wojsk;

2) rozporządzania dostateczną ilością pali-wa, rzeczy jeszcze trudniejszej do osiągnięcia od statku, gdyż ani drzewa ani też węgla w O-desie nie było zupełnie i nawet wojenny okręt angielski zaopatrywał się w paliwo u miejsco-wych żydów spekulantów, płacąc fantastyczne

ceny, za pud węgla 450 rb., lub drzewa 360 rubli;

c) złożenia takiej załogi statków, aby w ostatniej chwili nie zawiodła i nie zgłosiła swego akcesu do bolszewików, jak to było regułą w r. 1919 podczas ewakuacji Odessy przez sprzymierzeńców;

d) trafienia na sprzyjającą pogodę, stosownie do rodzaju statków, okoliczności pierwszej wagi wobec tego, że port odeski pokryła gruba warstwa lodu, przyczem ciągle przy silnym mrozie srożyły się śnieżyce, lub burze morskie;

e) zgromadzenia bardzo znacznych funduszy na opłacenie przewozu ludzi i bagaży, zważywszy na drożyznę w ówczesnych warunkach transportu drogą morską;

f) zabezpieczenia się przed niespodziankami w rodzaju odmowy przyjęcia pasażerów w porcie przyjmującym, a napadem ze strony miejscowych band odeskich przy ładowaniu, co stawało się ciągle prawdopodobniejszem wobec faktu, że takie napady raz wraz miały miejsce a ilość łotrzyków, żądnych rabunku, bezustannie się zwiększała. Dla informacji w związku z pierwszą częścią niniejszej uwagi dodaję, że statkom rosyjskim nie wolno było de facto wjeżdżać do portów rumuńskich, okręty zaś inne, o czem wspomniałem już wyżej, żądały opłat niesłychanie wysokich za przewóz, przyczem dawały tylko bardzo ograniczoną ilość miejsc do dyspozycji pasażerom polskim. Szczęśliwe dowiezenie podróżnych do portu nie rozwiązywało zresztą zgoła kwestji dostawienia ich do kraju. Trzeba było myśleć o opłacie za przewóz kolejami niezamożnych, a tych było $\frac{2}{3}$, i o utrzymaniu ich w drodze przez Turcję, Bułgarię, Serbię, Rumunię lub inne kraje, przez które ewentualnie droga wypadła. Bogatsi przeważnie wyjechali już poprzednio.

Szlaki lądowe na Żmerynkę. Akerman i Tyraspol scharakteryzować można zaś następująco:

Droga na Żmerynkę była ciągle pod wielkim znakiem pytania wobec tego, że wiadomościami, co się działo na przestrzeni kolejowej, rozporządzaliśmy tylko po Wapniarkę. Od Wapniarki po Żmerynkę nie chodziły nawet po ciągi pancerne Armji Ochotniczej, okoliczność, będąca w związku z faktem, że między Żmerynką a Wapniarką był zerwany spory most kolejowy. Most ten musielibyśmy postawić, aby pociągi doprowadzić do kraju. Wysyłane przez nas rekonesansy nie dostarczyły zresztą żadnych pocieszających wieści.

Droga na Akerman nęciła swoją krótkością, gdy idzie o podróż przez terytorjum rosyjskie. Można było tam także uruchomić pociągi, użyć koni lub iść pieszo. Ta droga jednak miała wielką niedogodność w tem, że kończyła się u brzegu 8 km. szerokiego limanu, przez który przedostanie się większej liczby uchodźców nie łatwe i to zarówno gdy idzie o przeprawę po łódzie, jak i łodzią. Każdej chwili mógł zająć ten fakt, że tak samo lód, jak i lódź były w stanie zawieść, mianowicie w wypadku, gdy liman wskutek silniejszej insolacji pokryje kra.

Droga na Tyraspol najbardziej uczęszczana przez naszych uchodźców była trzecim suchym szlakiem, prowadzącym do Polski. Do użycia nadawała się ona atoli tylko w tym razie, gdyby pociąg rozporządzał dostateczną ilością paliwa, a przy warunkach chwili i dostateczną osłoną militarną. Cała linia kolejowa na północ od Odesy, a przedewszystkiem ważny węzeł kolejowy Rozdzielna zajęte były przez wrogich nam Galicjan, których z Denikinem łączyła myśl wspólnej walki z bolszewikami, zresztą zaś uprawiających swoją własną politykę.

Przeprawa większych grup przez Dniestr uzależniona była albo od posiadania znaczniejszej liczby łodzi, albo od odpowiednio silnej pokrywy lodowej na rzece.

To były względy natury technicznej.

Poza tem wszystkim pozostawało jeszcze stanowisko Rumunów, w kwestji przeprawy z reguły nieprzychylnie. Lękali się oni zawleczenia z Rosji zaraźliwych chorób tak dobrze, jak i bolszewizmu, a zresztą nie życzyli sobie zbyt wielkiej ilości obcych na terytorjum linii granicznej, za którą uważali Dniestr. Istniała u nich także wyraźna rozbieżność działania między władzami. I tak w początkach lutego otrzymały wreszcie czynniki graniczne, po miesiącu szczelnego zamknięcia granicy, rozkaz przepuszczenia każdego Polaka z paszportem polskim, wizowanym przez polski konsulát, równocześnie atoli wojsko w każdym poszczególnym wypadku nie przestawało odnosić się jak poprzednio po dyspozycje do Kiszyniowa, gdzie była siedziba głównodowodzącego wojskami frontu dniestrzańskiego. Takie odnoszenie się zaś w chwili, gdy bolszewicy byli już na karku, mogło być ze względu na stratę czasu dać całkiem tragiczne rezultaty.

Choć tedy miałem świadomość dobrych lub złych stron tej lub owej drogi, wszystkie możliwości wyjazdu musiałem przecież trzymać w rękę aż do ostatniej chwili i żadnej się nie zrzekać, lecz owszem pracować we wszystkich kierunkach równocześnie. Dopiero w ostatnim momencie mogłem zdecydować, gdzie mam skierować główną część ekspedycji ewakuacyjnej, zwłaszcza, że sytuacja, gdy idzie o stosunki transportowe, w szczegółach zmieniała się z dnia na dzień.

Przystępując do omówienia naszych usiłowań zorganizowania ewakuacji drogą morską,

podnoszę raz jeszcze, że panami transportu na morzu Czarnem byli nie Rosjanie, lecz Anglicy, Francuzi i Włosi. Liczne statki rosyjskie, pominiawszy to, co powiedziałem już poprzednio z racji rekwizycji, dokonanej przez Armję Ochotniczą, leżały w portach albo zepsute, albo nie mogły się ruszyć z powodu braku opału. Mimo to nawiązywałem od połowy stycznia układy z kim mogłem, skupiwszy na wszelki wypadek około konsulatu marynarzy polskich, którzy tu jeszcze bawili.⁶⁾ Nie zaniedbywałem też podtrzymywania stosunków z rosyjskimi władzami portowymi, przy czem szczególnie pomocnym był nam kapitan Swistun, prowadzący operat oddziału sztabu portu. Przedewszystkiem zwrócić się był do właściciela polskiego statku „Polona“ Ryłskiego, który obiecał mi osobiście że przy końcu stycznia stanę w Odesie do dyspozycji polskich rapatryantów i konsulatu. Nędznie zawiódł. Z Sebastopola doniósł mi, że interes nakazuje mu jechać gdzie indziej; a nie do Odesy.⁷⁾ Wynająłem wtedy od rosyjskich władz portowych na 4 miesiące kołowy statek „Generał Brusilow“, mogący pomieścić do 400 osób. Umowa zawarta dnia 24 stycznia, podpisana przeze mnie i przez komendanta portu kapitana I klasy N. N. Dmitriewa, określała miesięczny czynsz najmu na 650 000 rubli dońskich. Pozwalała ona także na przedłużenie dzierżawy oraz obsadę statku polskimi oficerami i

⁶⁾ Oto nazwiska niektórych oficerów: Boczkowski Jarosław Brun Zygmunt, Bobrowski Piotr, De Witte, Fedorowicz, Głębocki Jan, Lipoman Jan, Piotrowski, Rosenbaum Edward, Rymsza Jerzy, Stankiewicz Stanisław. Z majtków: Dynowski Stefan, Rogowski Bazyle, Salomon Wacław, Serbinowicz Albin, Szymonowicz Leopold Zaborowski Stefan.

⁷⁾ Przy końcu lutego zastałem „Polonję“ w Galacu.

majtkami. Z uszczerbieniem tenuty dzierżawnej nie spieszyłem się jednak wobec tego, że statek najpierw musiał być naprawiony, a potem zopatrzony w opał. I na kwestji opału rozbiła się poniekąd na razie cała sprawa. Naprawiony przez nas statek, opału w dostatecznej ilości aż do chwili mojego wyjazdu z Odesy nie dostał, a nadto w ostatnim momencie załoga podniosła niezmiernie wygórowane pretensje, żądając od nas zapłaty wszystkich zaległych żołądów od listopada 1919 roku. Dopiero wysłanie oddziału straży konsularnej na pokład uspokoiło to wrzenie. Zastąpić przecież odrazu załogi Polakami nie mogliśmy, bo majtków polskich w Odesie było niewiele. Zabiegi w celu uruchomienia „Generała Brusilowa” kosztowały nas 280 000 rubli denikinowskich i ta kwota poszła na marne.

Niedopisały też pertraktacje, prowadzone z całym szeregiem posiadaczy małych statków, które w sumie miały nam dać to, czego nie potrafiliśmy osiągnąć z dużymi.

A zatem naftowy statek „Lewantos” miał obok towaru wziąć 35 pasażerów, w tem 18 bez płatnie, innych po 3000 rubli, „Św. Mikołaj”, również naftowy, 40 do 50 osób, „Jużnaja Zwiezda”, z „Carewnja” na buksirze, 60 do 80, „Eugenia” 72, barka motorowa „Wiera” inżyniera Kopcewa 76, „Agraïena” 50, „Żenia” Wasilja Krystałowa 50 do 60, nawet holownik „Ligia” z barką Falzfeina na buksirze kilku.

Niestety potęgający się mróz, którego wynikiem było pokrycie się morza w porcie jeszcze grubszym pancerzem lodu, uwięził do tego stopnia wszystkie statki nierozporządzające siłami maszynami, że o wyciągnięciu ich na rejd bez łamacza lodu, czyli jak w Odesie mawiano „lodokołu”, nie było mowy. Ta sama też przy-

czyzna ostatecznie unieruchomiła „Generała Bru
słowa.“

Dla pełności obrazu, gdy idzie o podjęte
przeze mnie starania w sprawię ewakuacji mo-
rzem, dodam, że usiłowałem również dobić ukła
du z dużym a zatem i swobodniej się poruszają
cym statkiem Szpolańskiego „Alexandra“ oraz
z Amerykanami, którzy w ostatniej chwili chcie
li przyjąć na siebie troskę ewakuacji ludzi mo-
rzem i ludzli się, że na jakichś 3 statkach ro-
syjskich, stojących w porcie bez opał, zdołają
ja przeprowadzić.

Zwracałem się też kilkakrotnie do Francu-
zów oraz do Anglików. Ci ostatni spisali się
wprost haniebnie, jak to zazwyczaj wszędzie
tam bywa, gdzie nie idzie o czysto angielskie
interesy. W początkach obiecali wziąć na po-
kład angielskich okrętów 400 uchodźców pol-
skich, potem już tylko kilkudziesięciu, a wresz
cie, w przeddzień mojego wyjazdu zaofiarowali
miejsce tylko mnie i 3 lub 4 osobom. Rozumie
się, że tej propozycji nie przyjąłem. Francuzi,
reprezentowani na końcu przez misję wojsko-
wą, wogóle nie dali znaku życia. Poprzednio na
statku francuskim wywieźli oni wygodnie wszy
stkich swoich ohywateli, chcących Odesę opu-
ścić. Było to jeszcze na jakie 3 tygodnie przed
zajęciem miasta przez bolszewików.

Z morzem zatem szło w tym czasie ciężko
i to zdaje się nie nam tylko, ale wogóle. W
specjalnym dalszym ustępie poświęconym wy-
padkom, które rozgrywały się w Odesie od
chwili, gdy do miasta wkroczyli bolszewicy, je-
szcze raz powrócę do tej kwestji, teraz zaś
zaznaczam, iż okazało się jak na dłoni, że skoro
przyszło ewakuować większe masy uchodźców,
w rachubę wchodzić mogły tylko drogi lądowe
nigdy zaś morze. Statkami była w stanie wy-

jechać zaledwie garść ludzi, zmuszona do tego specjalnymi okolicznościami, tem bardziej, że warunki podróży na przepelnionych i oblewanych lodową wodą pokładach były bodaj czy nie cięższe niż przewóz czy przemarsz lądem. Nie spiesząc się do morza trzymały się też lądu niedobitki armji generała Szillinga, które pod komendą gen. Bredowa kręciły się jeszcze wzdłuż kolei Odesa-Brzuła jak również kilka innych mniejszych oddziałów Denikinców, z jakimi się potem spotkałem.

Droge na Żmyrenkę ostatecznie zarzuciłem całkowicie. Został tylko wybór między Akermanem a Tyraspołem. W końcu urządziłem tak sprawę, że dla Akermanu przygotowałem 6 wagonów polskich, doczepionych do pociągu, który miał tam odejść z końmi wyścigowymi, odsyłanymi do Bukaresztu, a główną uwagę zwróciłem na Tyraspol i z tej także przyczyny, że chciałem pomóc tamtejszym rapatriantom, którzy mmo teoretycznego otwarcia granicy przez Rumunów, ciągle jeszcze znajdowali się z tej strony Dniestru. Aby wykorzystać wszelkie ewentualne możliwości przeprawy pod Akermanem już poprzednio stworzyłem był agenturę w Owidiopolu naprzeciw Akermanu, przyczem mianowanemu przez mnie agentowi konsularnemu Mikołajowi Janiszewskiemu, oprócz 4 żołnierzy ze straży i lekarzy, dodałem pomocnika w osobie niejakiego Rudnickiego, mówiącego po rumuńsku⁸⁾. Na drugą stronę limanu do Akermanu jako delegata konsulatu wysłałem Józefa Mikułowskiego, który swego czasu zajmował się był rapatriacją Polaków z Rosji. W ten sposób obsadziłem oba

⁸⁾ Rudnicki zawiódł, bo nie skierował się do Owidiopola, lecz pozostał w Odesie i opuścił ją statkiem, o czem dowiedziałem się już po powrocie do kraju.

brzegi limanu, stwarzając stałą komunikację na wypadek ruchu uchodźców polskich w tym kierunku. Cała droga do Akermanu została poprzednio przez oddział straży konsularnej dokładnie poznana, a z kolonjami niemieckimi, leżącymi po drodze, nawiązałem jaknajlepsze stosunki.

Trudność zdobycia pociągu ewakuacyjnego do Tyraspola były atoli niepospolite i tylko fakt, że zjawił się wojskowy pociąg inżynierski Armii Ochotniczej nr. 11, którym kierował inżynier-pułkownik Jacynicz postawił sprawę od razu w właściwej płaszczyźnie. Pan Jacynicz po porozumieniu się z konsulem otrzymał od dającego jeszcze jakie takie oznaki istnienia sztabu rosyjskiego ad hoc stworzony rozkaz wyjazdu do Tyraspola w celu budowy tam mostów dla ewentualnego przejścia oddziałów Armii Ochotniczej do Rumunii. Miał on swoją bardzo silnej konstrukcji lokomotywę i nieco opału, bodaj na ruszenie do pierwszej stacji za Odesą. Resztę musieliśmy sami sobie zdobywać po drodze, jak również zapewnić bezpieczeństwo pociągowi, który posiadał obsadę wyłącznie tylko techniczną. Wszystkie wozy pociągu, przydatne dla użytku rapatryantów, zostały przezemnie za pomocą wstawienia pieców zamienione na „ciepłuszki“ a dla wyciępienia wszy, roznoszących tyfus plamisty, gruntownie wybelone. Wszystko to zrobiono w ciągu jednej nocy z 2 na 3 lutego na stacji Odesa Sortirowocznaja, w miejscu postoju pociągu inżynierskiego.

Inna robota wrzała tymczasem na stacji pasażerskiej Odesa Główna. Tam pod dozorem oddziału straży konsularnej odbywało się umieszczanie podróżnych w dziewięciu przygotowanych i oczyszczonych wagonach, wydobytych

od Denikińców po części prośbami, a po części za pieniądze, za pośrednictwem niejakiego Eismonda, funkcjonariusza kolejowego. Uchodźcy otrzymał poprzednio polecenie zaopatrzenia się w żywność na 7 dni i zwiezenia bagaży do biura paszportowego konsulatu przy ulicy Gogola, skąd konsulat własnymi końmi odstawił wszystko na dworzec. Zarządzenia te były terminowe i czynione w możliwej dyskrecji. Na stacji głównej przyczepiliśmy do wagonów pociągu ewakuacyjnego także wóz Polskiego Czerwonego Krzyża z jego mieszkańcami Zelińskim i Zaleskim. Jeden z wagonów zajęli funkcjonariusze konsulatu z konsularnym archiwum.

Koło południa 3. lutego ruszył główny oddział straży, pieszy i konny z 5 karabinami maszynowymi, wiodąc kilkadziesiąt podwóz z bagażami i kilkuset uchodźców, w kierunku wschodnim, na stację Odesa Sortirowocznaja, odległą od centrum miasta o 12 km. Czekałem go tam już od kilku godz.n. przybywszy dla wydania niektórych zarządzeń wcześniej ciężarówym autombiem z niewielkim otoczeniem. Tam wieczorem załadowano konie w liczbie około 40, a matę z 100 pociskami, wozy, wielką kuchnię polową, wreszcie wszystkich, którzy tam przybyli z odpowiednimi legitymacjami. Mędzy pasażerami było także kilku poddanych fińskich z powodu sprawowanej przezemnie nad Finami opieki konsularnej oraz jeden Anglik z rodziną, który atol, swoim nieszczególnem zachowaniem się sprawiał nam potem w drodze wiele kłopotu. Dopiero zagrożenie brutalow, natychmiastowem wyrzuceniem go z pociągu, uświadomiło mu, że specjalnych przywilejów mieć nie może.

We wtorek 3 lutego pod wieczór o godzinie 8 minut 25 opuszczono Sortirowocznaja, spie-

szac przez stację Peresyp do Zastawy I, dokąd tymczasem z głównego dworca nasza lokomotywa przesunęła wagony pociągu ewakuacyjnego (6 towarowych, 2 osobowe, 1 Czerwonego Krzyża). Wydałem takie polecenie, bo uważałem, że trzymanie wozów pełnych pasażerów na dworcu głównym byłoby w danych okolicznościach wysoce niebezpieczne. Do Odessy zbiegały się coraz to nowe eszelony z rozbitego frontu i mogły tak tor zaważyć, że w pewnych okolicznościach wydobywanie wagonów na linię byłoby niemożliwością. W mieście zaczęły się już zresztą rabunki i dochodziły stamtąd odgłosy strzałów, które zwłaszcza następnego dnia rankiem zyskały na intensywności. Pokazało się, że bolszewickie przedmieścia, a szczególnie ludność żydowska, już walczyły z zdemoralizowanymi resztkami rozbitej Armii Ochotniczej.

Wydobywanie naszego pociągu ze stacji Peresyp na wznosny stacji Zastawa okazało się przecież rzeczą niezmiernie trudną. Miał on około 50 ciężkich wagonów a bardzo gwałtowny spadek terenu spychał lokomotywę w tył. Wtedy wydałem rozkaz wszystkim mężczyznom dopomagać pociagowi w jego podróży na wznosny. Dzięki połączonym wysiłkom setek ludzi ruszyliśmy w górę, choć nie z zadowoleniem wszystkich, gdyż nie brakło takich którzy woleli wygodnie drzemać w „tępluskach“ niż pod przymusem żołnierzy wykonywać ciężką pracę na kilkunastostopniowym mrozie. Podczas najgorszych prac około uruchomienia pociągu, gdzieś o 1-ej w nocy, pokazał się z tyłu za nami nieprzviaciel pod postacią ciężkiej lokomotywy z kilku oficerami i żołnierzami ukraińskimi, spieszącymi również do Zastawy. Z rozmysłu uderzyła ona z taką siłą w tylną część pociągu, że rozbiła zderzaki ostatniego wagonu i zrzuciła z platformy usta-

wione tam nasze furgony. Wtedy użyliśmy po raz pierwszy siły, zwłaszcza, że atakujący parowóz zapowiadał drugą na nasz napad jeszcze silniejszy od pierwszego, w którym to celu odsadził się nawet na pewien dystans od pociągu. Te zbrodnicze zamiary spełzły jednak na niczym, bo ośmiu żołnierzy z komendantem straży konsularnej, Makowieckim na czele nie tylko że oparowało atakujący parowóz, ale pod grozą natychmiastowego wystrzelania jego załogi zmusiło go do wspólnej pracy z naszymi.

Nad ranem dotarliśmy do Zastawy, przyczepiliśmy wozy z uchodźcami, Czerwonym Krzyżem oraz personelem konsulatu i ruszyliśmy w dalszą podróż do Rozdzielnej. Potrzebne dla lokomotywy drzewo, wiedząc, że jesteśmy ostatnim pociągiem, który opuszcza Odese, zdobywaliśmy na stacjach drogą rekwizycji, przyczem jadąc, wielkie kłocę na otwartych platformach cięto na mniejsze kawałki. W nocy z 4 na 5 lutego minęliśmy wielką stację Rozdzielną i jadąc przez Koczurgany około południa dnia 5 lutego stanęliśmy w Tyraspolu. Na przebycie mniej więcej 140 km. potrzebowaliśmy około 40 godzin.

Specjalne środki ostrożności zachowaliśmy w Rozdzielnej ze względu na obecność tam Galicjan. Przedewszystkiem ważniejsze punkty obsadziliśmy karabinami maszynowymi i posterunkami, a następnie wzięliśmy pod straż zastępcę naczelnika tego ważnego i bardzo rozgałęzionego węzła kolejowego. To ostatnie zarządzenie okazało się szczególnie potrzebne, gdyż przy sympatjach poważnej części kolejarzy dla bolszewików nastawiono nam zrazu złośliwie tory na północ, na Birzułę, zamiast na zachód, na Tyraspol. Dopiero porządne oćwiczenie przez żołnierzy kilku funkcjonariuszów

kolejowych przyprowadziło resztę do posłuchu. W każdym razie tę stację należało specjalnie szybko opuszczać, gdyż bolszewicy zbliżali się do niej wielkimi marszami. Każda chwila zwłoki mogła być pociągnięta za sobą jak najgorsze skutki i zaplatać nas w bój z nierównymi siłami.

Natychmiast po przybyciu do Tyraspolu przesiadłem się na luźną lokomotywę, stojącą na stacji i ruszyłem do znajdującego się w odległości 7 km, zerwanego mostu na Dniestrze, u stóp którego urzędowała stale komisja rumuńska. Dokonywała ona weryfikacji paszportów osób, głównie Bessarabców, udających się do Rumunii przez Bendery. Okazawszy komisji moje legitymacje nalegałem, aby natychmiast zwróciła się telegraficznie do Kiszynowa do generała Popowicza, a gdy potrzeba do Bukaresztu, z prośbą, żby przepuszczono od razu wszystkich uchodźców polskich tak tych, jacy są już oddawna w Tyraspolu i Parkanach w liczbie około 1000 osób, jak i tych, których ja przewiozłem. Zażądałem pozwolenia na przeprawę po łodzi lub ewentualnie po moście, który przez Dniestr myślały rzucić zbliżające się rozbitki Armii Ochotniczej. Wszelkie rumuńskie argumentacje, że dotychczasowa przeprawa łódką wystarcza, odrzuciłem jako takie, które wobec liczby uchodźców i krótkości czasu, zostającego jeszcze do przyścia bolszewików, nie odpowiadają wymogom i powadze grożącego niebezpieczeństwa. Rumuni atoli o wpuszczeniu naraz tysięcy nie chcieli wprost słyszeć i dopiero po długich pertraktacjach zgodzili się prosić Kiszyniów o pozwolenie na przejście 250 ludzi straży konsularnej i pracowników konsulatu, zresztą bez ścisłego określenia ich liczby. Na tej wąskiej podstawie trzeba było działać.

Komisję po załatwieniu mej misji, zaprosiłem do siebie do pociągu na przyjęcie na niedzielę dnia 8 lutego.

Przeprawa łódką po kilkadziesiąt osób dziennie z tych, którzy najdłużej już w Tyraspolu bawili, zaczęła się na kilka dni przed przybyciem naszego pociągu do Tyraspola i postępowała tymczasem wciąż 5 dn. dalej swoim porządkiem. Była to w ogóle robota, mogąca dać tylko minimalne rezultaty, wyczerpująca fizycznie i materialnie uchodźców i aż dziw, że nie znaleziono sposobu, aby przerwać te męczarnie. Mogło zaś to nastąpić przedewszystkiem w ten sposób, iż w Benderach wynalezionoby ze strony polskiej, choćby nawet za bardzo wysokiem wynagrodzeniem, obszerne lokale na kwarantanę. Rzekomy brak takich lokali i niemożność ich zdobycia, to był główny argument, którym Rumuni się zasłaniali, ograniczając do minimum liczbę pozwoleń na przeprawę na ich brzeg. Z drugiej strony trzeba było pozyskać urzędników komory cłowej kilku funkcjonariuszów sanitarnych benderskich, aby zechcieli naszym ludziom oddać swą pracę i poza godzinami urzędowemi. Wtenczas znalazłaby się i druga, a nawet i trzecia łódka, których istnienie zdołałem skonstatować i zamiast 30 lub 50 ludzi przeprowiałoby się na drugi brzeg dziennie przynajmniej 150. Średnio codzień tyłu nowych uchodźców nie przybywało. W ten sposób wiele trudności ścigało się tylko do braku organizacji i kwestji pieniężnych. Sądzę, że sfinansowanie sprawy ratowania przez Bendery kosztem jakichś 300 000 rubli carskich byłoby ją postawiło stanowczo na zupełnie njej płaszczyźnie, przyczem nie mówię o żadnych łapówkach, ale o działaniu zupełnie legalnem. Myśmym od Rumunów tylko żądali a nie chcieliśmy pojąć, że trzeba także im coś

dać, aby mogli spełnić to, co jest koniecznym pod względem sanitarnym i innym.

Organizacja owego transportu uchodźców łodzi z jednego brzegu na drugi, łączne z agentem konsulatu odeskiego kapitanem Mikołajem Godlewskim i jego zastępcą porucznikiem Kazimierzem Gawurskim, których wysłałem był do Tyraspola jeszcze w połowie stycznia, aby otoczyli opieką naszych rapatriantów, zajmował się bawiący w Benderach oddział Polskiego Czerwonego Krzyża. Stanowił on część ekspedycji, wysłanej z Polski późną jesienią 1919 r. do Kijowa. Wyprawa ta, zupełnie bezowocna, już po kilkudniowym pobycie musiała uchodźić przed wkraczającymi bolszewikami. Oddział benderski, pozbawiony pieniędzy, który podobno nieopatrznie zostawił w Warszawie, licząc, że wszędzie na miejscu będzie mógł przez wystawienie przekazów na przyznaną mu dotację zaopatrywać się w grosz, co jednak tylko w części się udawało, nie był w stanie nic poważniejszego zdziałać. Personelowo jego, zwłaszcza niższemu, brakło nadto chęci do poświęcania się. Widziało się ludzi, noszących godła Czerwonego Krzyża, od czasu do czasu coś piszących i to niemal wszystko. Ze swoich zapasów belzny, ubrań i pożywienia, rzecz jasna, że głównie amerykańskiego pochodzenia, dawał oddział przecież co mógł, ale nie była to robota pełna rozmachu, lecz mała, na którą do pewnego stopnia szkoda było dobrej woli i energii kierownika oddziału Niedzielskiego. Drugą część misji Czerwonego Krzyża, odeską, przywiozłem z sobą. Ta już zgola żadnej pracy nie rozwijała.

W Odesie przechadzka raz na dzień do konsulatu kierownika oddziału Stanisława Zielińskiego, była bodaj wszystkim.

Co do środków działania tem się różnił oddział odesk. od benderskiego, że miał prawdopodobnie mniej zapasów w naturze a więcej za to pieniędzy, którymi zdaje się jednak jak najniefortunniej zarządził, zmieniawszy carskie ruble na nic nie warte denikinowskie i ukraińskie. Po wyjeździe z Odessy osiadł oddział pod kierunkiem Zielińskiego w Tyraspolu, nie interesując się tem, co się działo na brzegu Dniestru w Parkanach i pilnie nawet tego brzegu unikając. Zamanifestowało się to wyraźnie zaraz po mojem przybyciu do Tyraspola. Gdy poleciłem natychmiast pociąg ewakuacyjny przesunąć z Tyraspola pod sam brzeg dniestrowy w Parkanach, Zieliński zażądał, aby jego wagon wyłączono z całości i zostawiono w Tyraspolu, co też rzecz prosta zostało spełnione. Nie wziął on także mimo zaprosin udziału w przyjęciu danem przez ziemie dla władz rumuńskich z Bender i bodaj czy choć raz jeden widział się z swoimi kolegami z oddziału benderskiego. O jakiegokolwiek zatem pomocy z tej strony nie było wprost mowy, a przecież firma Czerwonego Krzyża mogła nam się być bardzo przydać.

VII.

General Bredow. Przeprowadzenie przez ziemie pod Warnicą. Rozbrojenie straży konsularnej. Odcięcie Denikińców od brzegu.

W przyjęciu wydanem przez ziemie w pociągu ewakuacyjnym na cześć władz rumuńskich wziął udział także general Bredow ze swoim sztabem. Dawny podkomendny generała Drago mirowa, po zajęciu Kijowa przez bolszewików, wszedł pod rozkazy generała Szillinga i stał na czele niedużych sił, które mu jeszcze zostały po najrozmaitszych walkach, zdradach i ubytkach wywołanych wskutek chorób zaraź-

fiwych, zwłaszcza zaś niebywale silnej epidemji tyfusu plamistego. W chwili, gdy bawił u mnie mógł mieć jeszcze około 5 000 piechoty, 1 500 kawalerji i kilkanaście dział. Na linii kolejowej Tyraspol — Rozdzielna — Wapniarka stało nadto 12 znakomitych pociągów pancernych pod dowództwem generała Iwanowa. Dwa inne pociągi stracone zostały w Odesie. Generał Bredow nic nie wskórawszy przez swoje bezpośrednie tego samego dnia prowadzone układy z Rumunami zarówno w przedmiocie budowy mostu na Dniestrze, jak i swobodnego przejścia Rosjan do Rumunji, zwrócił się do mnie o interwencję. Nie podjąłem się jej jednak, bo wiedziałem, iż będzie bezowocną. Już przedtem Rumuni poinformowali mnie, że Rosjan pod żadnym warunkiem do swego kraju nie wpuszczą w następstwie nieopatrzonej polityki Denikina, który pod hasłem „jednej i niepodzielnej Rosji“ reklamował dla niej tak dobrze Bessarabję, jak i Estonię, Łotwę lub inne części dawnego imperjum. Natomiast Rumuni, ceniąc generała Bredowa jako żołnierza zaproponowali mi, iżbym go wziął pod swoją opiekę i zaopatrzył jakimkolwiek dokumentem podróży. Aczkolwiek Rosjan nie wpuszczają do siebie, jego samego gotowi są przjąć. Badany w tym względzie oględnie przez trzecie osoby generał Bredow propozycję odrzucił, mówiąc, że jeżeli ginie jego armja, to i on musi podzielić jej los. Uciekać do Rumunji, sam nie będzie.

Podczas bankietu wniosłem po francusku toast na pomyślność Rumunji i rumuńskiej pa-ry królewskiej, poczem w odpowiedzi prefekt Thiginy (Bender) Crudu pił na pomyślność Polski oraz wieczystego sojuszu dwóch narodów, rumuńskiego i polskiego, naczelnika Piłsudskiego etc. Przemawiał także po rosyjsku generał Bredow, zaznaczając w odpowiedzi na toast,

wzniesiony przez jednego z uczestników zebrania, że nie życzyłby żadnemu z narodów przeżywać to, co teraz jest udziałem rosyjskiego.

Po przyjęciu, późno w noc, oddział straży konsularnej, tak jak sobie to życzyli Rumuni, odprowadził ich na brzeg, skąd przeprawili się łodzią do Bender. Z przyjęcia, jak potem miałem sposobność się przekonać, wynieśliśmy nie jedna korzyść.

Innego rodzaju układy, niż te z Rumunami, prowadziłem z generałem Bredowem, a dnia poprzedniego także z generałem Iwanowem. Namawiałem ich, aby zdecydowali się przedrzeć do Polski, pozostawiając tutaj wszystko, co nie reprezentowało bojowej wartości. Pociągi pancerne, naprawiając sobie mosty, miały iść linią kolejową Rozdzielna — Birzuła — Wapniarka — Żmerynka — Płoskirów i tworzyć prawe skrzydło posuwającej się armji. Lewe opierać się miało o Dniestr. Ofiarowałem się z moim oddziałem towarzyszyć osobiście całej tej wyprawie, zabezpieczywszy poprzednio los uchodźców polskich w Tyraspolu. Większa bitwa z bolszewikami mogła być przypuszczalnie wypaść koło Birzuły. Chodziło mi prosto o zdobycie dla Polski 12 wspaniałych pociągów pancernych z 26 takimiż lokomotywami, artylerją itp., które to rzeczy wpadłszy w ręce bolszewików byłyby z pewnością obrócone przeciwko nam. Sądziłem, że takich pociągów Polska dotychczas nie posiadała. Uśmiechała mi się także myśl układów z Galicjanami, których celem byłoby pogodzenie ich z faktem zajęcia Galicji Wschodniej przez Polskę.

Niestety z wszystkich tych układów nie wyszedł żaden czyn. Generał Iwanow, już pozyskany dla myśli przebijania się z pociągami do Polski, natrafił na przeciwnika w osobie swojego bezpośredniego zwierzchnika generała Bre

dowa, a jeszcze więcej jego szefa sztabu, zdaje się Niemca w służbie Armji Ochotniczej. Ostatnie pociągi pancerne przeszły formalnie w ręce Galicjan, choć w istocie zostały przeważnie uszkodzone a 2 z nich za naszym przyczynieniem się wysadzone w powietrze, generał Iwanow za moją pomocą zbiegł do Rumunii, a generał Bredow nie tracąc chwili czasu pomaszerował wzdłuż Dniestru na Kamieniec Podolski w nadziei, że pod osłoną Galicjan, którzy pierwsi musieliby być napadnięci przez bolszewików, uda mu się ująć pościgu. Wypadki okazały, że obliczenia Bredowa były słuszne. Dotarł do frontu polskiego. Kwestja tylko co się stało z rozsypaną po różnych punktach grupą galicyjską, liczącą około 15 000 kombatantów. Prawdopodobnie pod naciskiem bolszewików albo przeszła częściowo na ich stronę, albo wsiąkła w nowe formacje wojskowe ukraińskie, które wówczas tworzyły się na Podolu.

Dnia 9 lutego po południu udało mi się przeprowadzić na brzeg rumuński archiwum konsularne wraz z wicekonsulem Kowerskim, sekretarzem Grabińskim i kilkoma innymi urzędnikami.

W międzyczasie nadchodzące wieści rysowały sytuację wojskową w barwach coraz to czarniejszych. Już niemal na godzinę można było przepowiedzieć moment, kiedy bolszewicy zamkną nas z wszystkich stron. Stwierdziwszy tedy fakt, że nadeszła wreszcie do Bender rumuńska depesza z Kiszyniowa, która pozwalała w zasadzie na przejście po łodzi konsulatu i jego straży pod warunkiem złożenia na brzegu rumuńskim broni i oddania koni, zwołałem wieczorem naradę oficerów i kilku wybitniejszych osób, na której zapadła uchwała wykonania przez prawy nazajutrz około południa. Pośpiech nakazywała i ta okoliczność, że powłoka lodowa

mogła była bardzo łatwo puścić. I tak było to czemś nadzwyczajnem, iż w południowej Bessarabji w szerokościach, gdzie wiosna zjawia się z reguły dość wczesnie, dnie wyjątkowo mroźne trwały do połowy lutego.

Dla stłumienia w zarodku nieporządków, kradzieży itp. ogłosiłem w stojącym na kolejowym wale pociągu, jak również w najbliższej jego okolicy, w tem także w sąsiedniej ws Parkany, stan wyjątkowy. Okoliczność, że ustąpiła wszelka władza, do której można się było udać w razie potrzeby, zmuszała mnie do tego rodzaju zarządzenia, tembardziej, że wśród części mieszkańców Parkan dały się słyszeć głosy, iż nie mają przeciwko wyjściu do Rumunii uchodźców, ale bez bagaży. Nawet usiłowano odbyć po wagonach coś w rodzaju oględzin rzeczy, tam się znajdujących, w którym to celu zaczęło do nich zaglądać kilka grup uzbrojonych, na co rzecz prosta nie pozwoliłem.

Inny rozkaz głosił rozdzielenie bagaży cenniejszych od mniej cennych, na wypadek potrzeby porzucenia części, jeszcze inny tyczył się podwód, które zażądałem od ludności bułgarskiej z Parkan, dalej zaopatrzenia się w żywność itd.

Aby nie było zamieszania i krzyżowania się poleceń, skupiłem funkcje wykonawcze, związane z przeprawą, w ręku komendanta straży Makoweckiego, sobie zachowując dozór wszystkiego i te czynności, jakie wypływały bezpośrednio z piastowanego przezeń urzędu konsula. Kancelarja konsularna, mieszcząca się od chwili przybycia do Parkan w jednym z wagonów kolejowych, tej nocy pracowała bez przerwy do rana. Co chwila zjawiali się bowiem nowi uchodźcy, którzy musieli być wybadani, zaopatrzeni w papiery, a czasem odziani i nakarmieni. Szczególniejszym lękiem napelnia

ła ich łuna na południowym wschodzie i trzeba było pilnie baczyć, aby opowiadania zbiegów nie wywołały niepotrzebnej paniki. Wogóle szczegóły, tyczące się złej sytuacji wojskowej wiedziało zaledwie kilka osób.

W nocy odeszły najlepsze konie z wozem do Tyraspola po członków misji Czerwonego Krzyża, którzy tam zostali (Zielińskiego i dra Zaleskiego).

Rano dnia 10 lutego o godzinie ósmej zaczęły się ściągać pod wyniosły wał kolejowy ładowne podwozy oraz oddziały straży konsularnej, które opuszczały swe posterunki, zajmowane w ciągu nocy. O godz. 11 rano po skonstatowaniu przez konnych, że wszyscy, którzy tylko chcieli i mogli, są gotowi do drogi, ruszył długi, kilometrowy pochód. Na czele szedł oddział konny z komendantem Makowieckim, dowódcą całej naszej siły zbrojnej, za nim karabiny maszynowe i trzy plutony piechoty, 206 wozów obciążonych bagażem i uchodźcami, a wreszcie znowu 2 plutony piechoty i długi szereg próżnych wielkich tak do przeprawy bagażu po lodzie. Ja szedłem ostatni, bo wobec długości pochodu, mogło się być zdarzyć, że komendant znajdujący się na jego czele, nie byłby w stanie dość wcześnie zapobiec awanturze, wybuchłej na tyłach. Podróżnych bez straży było około 1000. Próby rabunku i napadu na rozwijający się pochód konnej bandy zlikwidowaliśmy w zarodku z takim skutkiem, że przez cały czas dalszego pobytu na brzegu rosyjskim mieliśmy już całkowity spokój.

Przebyliśmy kilka kilometrów do przeprawy, którą oznaczyliśmy już dnia poprzedniego, manowicie pod wsią Warnicą, tem sławnej, że kryje grób Mazepy. Bliżej przeprować się nie było można z powodu lichego lodu. Wtedy u stromego brzegu Dniestru, wśród cudnego,

mroźnego dnia słonecznego, zatknęliśmy sztandar polski, a ja w towarzystwie tłumacza języka rumuńskiego i komendanta straży konsularnej Makowieckiego, polecivszy nieść przed sobą białą chorągiew, zacząłem po łozie iść ku Rumunom. Na to odpowiedzieli oni strzałami. Sta nęliśmy tedy mniej więcej w połowie szerokiej rzeki i za pośrednictwem tłumacza Mieczysła wa Guźca jęliśmy wyjaśniać kim jesteśmy i jaki cel naszego przybycia, toż samo wskaza liśmy na depeszę generała Popowicza z Kiszy niowa, zezwalającą na przeprawę. Wtedy Ru muni zgodzili się na zbliżenie się moje do ich brzegu. Przyjął mnie kapitan Radu Marin u przejmię i grzeczne, niemniej jednak polecił jak najszybciej opuścić brzeg i czekać odpowie dzi na drugim. Stwierdził, że niema żadnych zgola rozkazów co do przepuszczenia uchodź ców i tych tylko usłucha, których mu udzieli jego bezpośrednia władza wojskowa. Obiecał połączyć się zaraz telefonicznie z komendą, a by rzecz zbadać.

Na odpowiedź czekałem na drugim brzegu przeszło 3 godziny. Gdy mróz kilkunastostop ninowy cisnął i noc zaczęła zapadać, a krzyk dzarwy i wygląd zmarzniętych kobiet nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że wszyscy są już u kresu wytrzymałości, udałem się spieszenie koźmi do przeprawy pod zrujnowanym mostem benderskim, gdzie urzędowała jeszcze komisja rumuńska. Tam na usilne nalegania uzyskałem rozkaz generała Popowicza na piśmie i wróci łem do taboru. Niestety tego dnia przeprawać się nie było już można, gdyż jeszcze ciągle punkt graniczny w Warnicy nie miał potrzeb nych rozporządzeń. Otrzymał je dopiero w no cy. Smutne składano bagaż na ziemię w potęż ne stopy, smutnie rozpalano ognie pilnujących straży, a podróżni smutni rozchodzili się po cha-

tach na nocleg. Mieli wszyscy stawić się na-
zajutrz o godz. 9 rano. Tej nocy wpadła w rę-
ce bolszewików ważna stacja Birzuła, a pod-
jazd ich kawalerji dostał do wsi, która zajmo-
wałem. Za słaby, aby atakować nas cofnął się,
ale szybkimi marszami nadciągały większe siły
czerwonych. Choć wiedziałem o wszystkim,
nie mówiłem o tych sprawach z nikim, jak z
kilku oficerami, zacnym inżynierem Jacyniczem
i osobami, co do których odwagi i spokoju mia-
łem najzupełniejsze przekonanie.

Dnia 11 lutego wczesnym rankiem uwa-
diono mnie, że rumuńska komisja z majorem
Georgescu Jonem z 19 pułku artylerji na cze-
le stoi u przeprawy gotowa przjąć uchodźców.
Natychmiast podjęte zostały wszystkie po-
trzebne ku temu zarządzenia. Na łód wyszedł
oddział straży konsularnej, który łopatami i ki-
łofami wyrównał straszliwie pogarbiona po-
wierzchnię, złożoną z sterczących kawałków
kry, poczem o godzinie 10-tej zaczęła się prze-
prawa. Trawała ona wśród ślicznej pogody do
godz. 2 popołudn u. Przeprowiło się zrazu oko-
ło 500 osób, w tem kilka oddziałów straży kon-
sularnej i to wszystko, co mogło być podcią-
gnięte pod mianownik pracowników konsulatu.
Szczególnie z powodu stromości brzegów była
uciążliwą przeprawa pełnych bagażu wozów
rapatryantów.

Gdy straż złożyła broń aż do rewolwerów
i lanc włącznie i gdy na drugim brzegu stojący
tłum uchodźców, otaczany przez gromadzącą
się czerń, każdej chwili mógł być napadnięty i
obrabowany, bo słabe, pozostawione tam je-
szcze straże okazałyby się mogły niewystar-
czającymi, Rumuni po długich zabiegach poz-
wolili sobie dać wytłómaczyć w ten sposób
rozkaz generała Popowicza, iż ostatecznie o
godzinie 4 i pół pozwolono przejść reszcie. W

czasie dwugodzinnych pertraktacji, prowadzonych za pośrednictwem tłumacza Guźca, który tego dnia oddał duże usługi, wyjaśniłem oficerom rumuńskim, że zebrani to przeważnie agenci konsularni z różnych miejscowości i ich rodziny, a zatem, że przepuszczając ich, nie przekroczy się pozwolenia generała Popowicza, a wreszcie oświadczyłem, że skoro moja interpretacja nie zyskuje aprobaty, to proszę o zwrot broni, abym z garścią oddanych mi oficerów i żołnierzy polskich mógł przejść z powrotem na brzeg rosyjski i tam podzielić los obywateli polskich. Rumuni ustąpili, przyczem nie bez wpływu było zjawienie się na brzegu urzędników cywilnych z prefektem Bender na czele, których swojego czasu gościliśmy u siebie w Parkanach.

Przeprawa pociągnęła się aż do nocy, przyczem przeszli ci wszyscy, którzy zgromadzili się nad brzegiem rzeki. Gdy zapadły zupełnie ciemności i gdy przypuszczać należało, że jeszcze w ostatnim momencie zbiegać się zaczęły ludzie z różnych stron dalszych, Rumuni zaś obsadzili na nowo okopy, uzyskałem dzięki ludzkości prefekta Thiginy Avela V. Crudu ustępstwo, że i nazajutrz rankiem wolno było uchodźcom się przeprawić, o ile wogóle będzie to jeszcze możliwem ze względu na bolszewików. Gdyby mimo to ktokolwiek pozostał jeszcze na brzegu rosyjskim, mógł przedostać się niżej o 6 klm. łodzią pod zerwanym mostem kolejowym. Poustawiane przezemnie straże pilnowały wszystkich tych możliwości.

Ostatni uchodźcy przechodzili rzekę już wśród alarmu, wywołanego przez zbliżające się oddziały jazdy sowieckiej. Było to w momencie, kiedy miejscowi bolszewicy wymordowali właśnie w bestjałski sposób 33 ludzi, mężczyzn, kobiet i małych dzieci, z obsługi

technicznej pozostawionego przez nas pociągu inżynieryjnego z pomocnikiem komendanta na czele, a potem pociąg częściowo podpalił. Obsługa pociągu z rodzinami, sami Rosjanie, wyginęła dlatego, że nie usłuchała udzielanych jej rad i nie przeszła do Rumunji, co przy mojej pomocy było możliwem.

Prócz tych ludzi postradało życie także wielu innych Rosjan, starając się przejść na brzeg bessarabski pod strzałami pilnujących przeprawy patroli rumuńskich lub na widok bolszewików wprost skacząc z rozwalin mostu na lód. Szczęściem do pewnego stopnia dla wielu była ta okoliczność, że bułgarska ludność wsi Parkany przeważnie zachowywała się ludzko. Sprawcami okropności byli niemal z reguły mieszkańcy wsi dalszych.

Dnia 13 lutego dotarli bolszewicy regularnymi oddziałami do samego brzegu Dniestru. Jeden tedy dzień spóźnienia się, a bylibyśmy wszyscy wpadli w wrogie nam ręce, tak samo jak jeden dzień zwłoki w Odesie, a o wyruszeniu naszego pociągu nie mogło być już mowy. Wszystkich nas przejmowała smutkiem tylko okoliczność, że na brzegu rosyjskim w Tyraspolu pozostał Stanisław Zieliński i Dr. Zawadzki z kilkoma osobami z Polskiego Czerwonego Krzyża. Zieliński nie usłuchał wystosowanego przezemnie do niego wezwania stawienia się u przeprawy, a mitrężąc, sprawił tylko to, że wraz z wysłanymi po niego końmi przepadł także nasz woźnica, podobno zabity przez miejscowych bolszewików. Może być, że Zieliński wolał zostać na brzegu rosyjskim, osłonięty bądź co bądź pewną nietykalnością, jaką nawet u bolszewików dawała firma Czerwonego Krzyża, niż tłumaczyć się z przypuszczalnie niefortunnej zamiany pieniędzy, na które czekał oddział benderski. To była opinja wie-

ki.

Władze cywilne i wojskowe rumuńskie wobec uchodźców polskich, skoro już raz udzieliły im pozwolenia na wejście do Rumunii, zachowywały się w Benderach z jak największą życzliwością. Niech mi wolno będzie wymienić nazwiska osób, które w tym względzie szczególnie dodatnio się zaznaczyły. Są nimi prefekt okręgu Thigina Avel V. Crudu, lokotenat Octav Voropchievici, kapitan Petru Mardari, kapitan Rađu Marin z 8-go pułku piechoty, major Georgescu Jon z 19 pułku artylerji, sublokotenat Mihailescu, Dr. Juryst i pułkownik Miclescu.

Przy rozbrajaniu straż konsularna na brzegu rumuńskim złożyła:

160 karabinów,
19 rewolwerów,
36 szabel,
5 mitraljez (w tem 3 amerykańskie),
8 lanc,

i spory zapas amunicji.

Oddaliśmy także trzydzieści kilka koni, kilka wozów i wiele innych rzeczy według protokołu, który przez majora Georgescu na miejscu został spisany w języku rumuńskim. Część uzbrojenia zniszczyliśmy w Parkanach ze względu na niemożliwość przetransportowania tych przedmiotów (armatę, kuchnię polową, 2 automobile z pociągu inżynieryjnego itd.).

Odjęte przedmioty uzbrojenia i konie miały zrazu przejść na stałe w ręce rumuńskie, nazajutrz jednak po spisaniu protokołu oświadczono mi, że wszystko otrzymamy z powrotem. Tak jednakże Rumuni nie postąpili. Przepadła część uzbrojenia, zwłaszcza zaś przedmioty drobne, a następnie nie zwrócono niektórych koni. Tłómaczyli się, że padły. Przy sposobności zaznaczam, iż znikła tutaj druga para koni konsulatu i zdaje się 2 wozy. W każdym razie Rumuni pomieniali niektóre swoje mniej cenne

konie na nasze, co wobec faktu, że wszystkie one, poza pozostałymi jeszcze dwiema parami konsulackimi, były własnością prywatną pojedynczych członków konnego oddziału straży konsularnej, narobiło wiele żalu. Tłumiłem go jednak i perswadowałem ze względu na trudną naszą sytuację i potrzebę skarbienia sobie życzliwości Rumunów. Sam rozdałem między funkcjonariuszy rumuńskich nie jeden przedmiot, który stanowił moją własność osobistą.

Mnie osobiście na brzegu nie rozbrojono. Tak samo postąpiono z komendantem straży konsularnej Makowieckim. Zarówno mnie jak i Makowieckiego oraz naszego tłumacza języka rumuńskiego Franciszka Mieczysława Guźca Rumuni w dniu przeprawy podejmowali w Warnicy skromnym obiadem.

Już wyżej zaznaczyłem, że postępowanie Rumunów wobec nas odbijało mocno od tego, jakie stosowali w odniesieniu do Armji Ochotniczej. Raz jeszcze zaznaczył się to na brzegu warnickim. Oto dnia 11 lutego w chwili przeprawy naszych ludzi przez lód, nadszedł tam Oddział Armji Ochotniczej, który przez delegatów prosił, abym zapośredniczył między nim a Rumunami w sprawie przejścia tych Rosjan do Rumunii. Rzecz prosta, że odmówiłem. Wtedy delegaci rosyjscy z chorągwią rosyjską stanęli w pół rzeki i wysławszy dwóch oficerów na brzeg rumuński sami przystąpili do pertraktacji, oświadczając, że w razie odmowy wpuszczenia ich do Bessarabji, będą przeprowadzali forsować. Rumuni mimo to odmówili, a po odejściu delegatów Armji Ochotniczej zaczęli ostrą strzelaninę z brzegu dla zaznaczenia, iż na każdy akt przemocy odpowiedzą w ten sam sposób. Stanowisko to wynikało z zamiaru zachowania neutralności przez Rumunję wobec wszelkich przewrotów wewnętrznych rosyjskich. Silnemu nastrojowi antibolszewickiemu sfer ofi-

cialnych wewnątrz Rumunji odpowiadała polityka zupełnego obiektywizmu na zewnątrz granic. Któż zresztą mógł zaręczyć Rumunom, że oddziały rosyjskie, które wejdą do Bessarabji, zachowają tam najzupełniejszą lojalność. Żywioły, z jakich składała się Armja Ochotnicza, nie dawały żadnej gwarancji, iż za gościnę zapłacą one, jeżeli już nie wdzięcznością, to bodaj spokojnem uznawaniem wytworzonego stanu faktycznego.

Jakie zaś u Denikińców panowały stosunki i jak dalece oficerowie z Armji Ochotniczej nie zastanawiali się nad tem czy postępują prawnie lub bezprawnie, niech pouczy mały bodaj epizod, który się zdarzył w tym momencie, gdy delegaci rosyjscy usładowali skłonić Rumunów do przepuszczenia oddziału do Bessarabji. Oto moi żołnierze przyprowadzili mi młodego żyda, który zamieszawszy się w tłum polskich uchodźców, chciał wraz z nimi przedostać się przez Dniestr. Ponieważ nie miał żadnych legitymacji i na nikogo znajomego powołać się nie mógł, przeto wspólnej przeprawy mu wzbronilem i spokojnie wezwałem, aby się oddalił. Wtedy stojący obok podpułkownik Armji Ochotniczej, zwróciwszy się do mnie ze słowami „ja go panu zaraz rozstrzelam“ sknął na swoich żołnierzach, aby podeszli i wyrok spełnili przy brzegu pod wskazanem drzewem. Zorientowawszy się w tem, co grozi i widząc przerażoną twarz żyda, prowadzonego na stracenie, dlatego tylko, że tak zadecydował w swej uprzejmości wobec mnie podpułkownik rosyjski, posłałem z jednej strony natychmiast za żołnierzami kilku oficerów straży, aby egzekucji przeszkodzili, a z drugiej oświadczyłem lekkomyślnemu oficerowi, że ani żądałem rozstrzelania, ani też do takiego kroku nie dostrzegam jakichkolwiek podstaw. Ostatecznie po dłuższej wymianie poglą-

dów żyd ocalał, jednak całkiem dobrze mógł zginać, ot tak dla fantazji, człowieka posiadającego kilkaset karabinów i zatarte pojęcia tego, co jest prawem, choćby wojennem, a co barbarzyńskim bezprawiem.

VIII.

W Benderach. Misja Specjalna na południu Rosji i jej działalność. Podróż do Polsk., Audjencje u Naczelnika Państwa i nuncjusza papieskiego.

Uchodźcy polscy, przybywszy do Bender, co nastąpiło we wzorowym porządku po części wieczorem 11 lutego, po części zaś w południe lub w nocy dnia następnego, zostali rozlokowani w kilkunastu punktach w celu odbycia czterodniowej kwarantany. Głównie użyto kinematografów. Mnie umieszczono w hotelu Londyńskim, pozwalając mi zresztą zupełnie swobodnie poruszać się. Podobne postępowanie zastosowano również do całego szeregu oficerów, którzy jako łącznicy roznosili moje zlecenia po lokalach.

Pieniądze uchodźców (rosyjskie), w sumie coś podobno ponad 6 milionów na brzegu Dniestru zostały opieczetowane pod dozorem jednego z rapatryantów, inżyniera Kazimierza Bondego i odstawione na komorę cłową w celu bez pośredniej odsyłki ich na granicę. wiemy już bowiem, że w myśl obowiązujących w Rumunji ustaw nie wolno było nikomu przechodzącemu granicę posiadać więcej przy sobie jak 2 000 rubl waluty rosyjskiej. Okoliczność ta, równająca się na jakiś czas częściowemu ogołoceniu rapatryantów z grosza była powodem wielu kłopotów. Uchodźcy nie mogli swobodnie sobą rozporządzać, konsulát zaś ciągle musiał ich mieć w opiece. Znalezli się wreszcie wśród nich niego-

dziwi lub nieroztropni, którzy zacnemu inżynierowi Bondemu zatruli z tego powodu życie, i to nie tylko w Rumunji, ale i potem po powrocie do kraju.

Gdy idzie o fundusze na pokrycie roboty repatriacyjnej, to wszystkie zdobył sobie sam konsulaty jeszcze za pobytu w Odesie, skłaniając bogatszych ludzi do czynienia ofiar na rzecz spraw publicznej. Zebrano w ten sposób około 1 200 000 rubli miejscowych. Jeden milion rubli ukraińskich, w dumkach i rublach carskich pożyliśmy prócz tego u miejscowego towarzystwa „Pol - Rus“ chcąc w tej kwocie mieć rezerwę na wypadek, gdyby stosunki tak się ułożyły, iż zostawałaby nam tylko kosztowna droga morska na Galac lub Constanzę, albo gdyby postoje poza Odesa wymagały żywienia ludzi przez konsulaty, bo biedy repatriacyjnej było dosyć.

Z naszymi szczupłymi zasobami, ciągle dusząc ów milion rezerwy, musieliśmy się w dodatku podzielić z benderskim oddziałem Polskiego Czerwonego Krzyża, który skonstatowawszy że Zieliński został w Rosji, podjął w kasie konsulatu w formie pożyczki sumę 35 000 rubli dumskich i 5 000 rubli carskich. Poważną również kwotę, bo 3 000 lei, wysłałem już z Bender do Akermanu na ręce Józefa Mikułowskiego, który tam z mojego zlecenia przeprowadzał po łodzi limanu drugą partję polskich uchodźców.

Mówiąc o funduszach na cele repatriacyjne chcę przy sposobności podnieść, że duży żal czuć można do t. z., „Misji Specjalnej na południu Rosji“, która pod przewodnictwem Franciszka Skąpskiego zjawiała się na pobrzeżu czarnomorskiem w pierwszych dniach listopada 1919 r. a już w połowie grudnia, zaraz na początku pogromu Denikina, prawie cała wyjechała z powrotem do kraju. Wracając zabrała ona z sobą

przeważną część tych sum, jakie otrzymała od rządu na rapatrację. Wszystko cośmy od misji dostali, to 150 000 mało wartościowych rubli dońskich 20 000 carskich które w drodze do kraju, wpadłszy literalnie na kilka godzin do Odessy, zostawił tam referent reemigracyjny Wacław Gawroński. ¹⁾

I w Rumunji pieniądz znikąd nie napływał, lecz owszem, wyczerpywał się szybko. Trzeba było przeto myśleć o jak najszybszem opuszczeniu Bender i o wystaraniu się o pociąg, co przy ówczesnym fatalnym stanie kolejnictwa rumuńskiego nie było rzeczą zbyt łatwą. Choć chory, jak się niebawem pokazało, na tyfus plamisty, którego nabawiłem się jeszcze na brzegu rosyjskim od rapatracjantów, złożyłem wizyte pułkownikowi Miklescu, komenderującemu benderskim odcinkiem frontu, w porozumieniu z nim nadałem depeszę do generała Popowicza, a wreszcie wspólnie z pułkownikiem Jacyn czem wybrałem się sam do Kiszyniowa, aby przyspieszyć sprawę uzyskania pociągu. Trawiony silną gorączką, wróciłem natychmiast do Bender, gdzie w łóżku oczekiwałem wiadomości, dbając tylko o to, aby wszystkie formalności wy-

¹⁾ „Misie Specjalna“ obok jej przewodniczącego Skapskiego składały następujące osoby: Władysław Leopold de Bondy, sekretarz poselstwa II klasy, Konsul II klasy Stanisław Pawłowski, kierownik wydziału konsularnego misji, Wacław Gawroński referent, dla spraw reemigracji, Roman Rejewski konsul II klasy, attaché handlowy, Raue Paweł, sekretarz. Ten ostatni zdaje się naidzielniej się spisał. Zostawiony w Rostowie czy gdzieindziej organizował tam reemigrantów i oddał poważne usługi. Zreszta misja literalnie nic prawie nie zrobiła ani w kierunku rapatrytacji, ani też organizacji żywołu polskiego przy konsulatach. Cała jej działalność w tym względzie ograniczyła się do wypowiedzenia kilku zbędnych enuncjacji i wydania garści okólników mogących w swoich skutkach i warunkach chwili dać powód do niejednego bałamuctwa.

magane przez Rumunów, były na czas spełnione, przyczem należy podnieść, że życzliwy nam prefekt Thigny Crudu, który mnie kilka razy odwiedził, starał się też ile możliwości ułatwić sytuację, w jakiej znaleźliśmy się, a nie utrudniać.

Poprzednio już, dnia 16 lutego rozwiązałem formalnie straż konsularną, która spełniła swe zadane i na brzegu rumuńskim rozbrojona, nie miała już żadnego znaczenia. Nie obeszło się to, rzecz prosta, bez wypowiedzenia sobie kilku ciepłych, serdecznych słów i wręczenia mi podpisanego przez wszystkich oficerów i żołnierzy adresu, który stanowi dla mnie jedną z najmiłszych pamiątek tych ciężkich czasów.

Dnia 22 lutego doczekaliśmy się wreszcie zestawienia przez Rumunów upragnionego pociągu rapatrjacyjnego, który skierowano na południe do Reni nad Dunajem, gdzie kończyły się szerokie tory bessarabskie, a zaczynał się tor normalny. Stamtąd przez Galac, Jassy Czerniowce dotarli rapatrjanci, a wraz z nimi i straż konsularna w początkach marca 1920 r. do kraju, korzystając już z opieki „Państwowego urzędu dla spraw powrotu jeńców, uchodźców i robotników“, który dostarczył w Galacu pociąg, złożonego z wagonów polskich. Z tą chwilą moja rola opiekuna całkowicie ustała, a objęli ją przedstawiciele galackiej misji urzędu JCR, Dr. Tadeusz Bieluchowski i kapitan Konrad Stobryn, lokując w pociągu nie tylko osoby ze mną przybyte, ale także i te, które przeszły po lądzie linianu dniestrowego pod Akermanem oraz dostały się do Galacu okrętem z Noworosyjska z tamtejszym wicekonsulem polskim Baczyńskim. Personel konsulatu odeskiego wraz z aktami stanął w Warszawie wcześniej, bo już 20 lutego. Także wielu zamożniejszych uchodźców wyjechało już poprzednio.

W zbiorowej podróży do kraju pociągiem rapat'jacyinvm udziału nie wzięłam, lecz wraz z dwoma oficerami: straży konsularnej, pozosta-
łem jeszcze jeden dzień w Galacu dla zebra-
nia niektórych potrzebnych mi informacji. Dnia
3 marca znalazłem się w Warszawie, a 5 marca
zostałem przyjęty w Belwederze przez Naczel-
nika Państwa Piłsudskiego w celu złożenia mu
szczegółowego raportu. W ciągu posłuchania,
trwającego blisko godzinę, objaśniłem mu stan
rzeczy na południu Rosji i streśćłem przygody,
które przeszliśmy. Naczelnika najwięcej jednak
interesował stan mostów na Dnieprze. Nie wie-
działem, że byliśmy w przededniu wyprawy na
Kijów.

Nazajutrz byłem u nuncjusza papieskiego,
mons g. Ratti'ego, dzisiejszego Ojca Świętego,
który przez urzędnika Ministerstwa spraw za-
granicznych ks. Płoskiewicza zaprosił mnie do
siebie dla zdania relacji o losach kościoła ka-
tolickiego na południu Rosji. W ciągu blisko go-
dziny trwającej audjencji w mieszkaniu dostoj-
nika papieskiego na probostwie Św. Aleksan-
dra przy ul. Książęcej wypytywał się o różne
osoby i sprawy, a najwięcej cieszył się z urato-
wania ks. biskupa Kesslera, uznając w tym czy-
nie spełnienie tych obowiązków, jakie Polska
ma wobec katolików na terenie rosyjskim.

IX.

*Przeprawa po lodzie limanu pod Akermanem.
Wygubienie odeskiej szkoły kudeckiej. Ostatni
Mohikanie w konsulacie odeskim. Raport se-
kretarza konsulatu Przybylskiego o wejściu bol-
szewików do Odessy i o podróży okrętu „Rio
Negro“ do Salonik. Pułkownik Strug.*

A teraz jeszcze kilka dopełnień.

Wspomniałem mianowicie już wyżej, że dla
umożliwienia także innej drogi do Rumunji, a to

przez pokryty lodem liman Dniestru, wysłałem był w charakterze delegata konsulatu Józefa Mikułowskiego do Akermanu, a porucznika Mikołaja Janiszewskiego jako komendanta etapu do Owidiopola.

Okoliczności potwierdziły, że te zarządzenia okazały się wysoce celowymi. Mikułowski znalazłszy się na miejscu już 2 lutego, rozpoczął natychmiast starania zarówno u naczelnika akermańskiego garnizonu Gabriliiu jak i u miejscowych władz rumuńskich o przepuszczenie gromadzących się na rosyjskim brzegu uchodźców, Janiszewski zaś, któremu dodałem kilku żołnierzy ze straży konsularnej, osłaniał w Owidiopolu rapatryjantów przed grabieżą i wypełniał żądane przez Rumunów formalności.

Na przeprawę mimo to czekano długo, bo aż dni dziewięć. Lokalne czynniki rumuńskie podobnie jak w Benderach tak i tutaj ociążały się z przyjęciem rapatryjantów, rzekomo z powodu braku środków dezynfekcyjnych, a może i dla nieobecności rumuńskiej komisji granicznej dla spraw rapatryjacji. Dopiero przybycie do Akermanu w dniu 8 lutego prezesa komisji majora Czuleja oraz specjalne zarządzenie komenderującego generała Popowicza, wywołane osobistą interwencją wysłanego do niego do Kiszyniowa z moimi listami Jana hr. Młodeckiego, oraz zabiegi honorowego konsula polskiego w Kiszyniowie Włodzimierza Cywińskiego, przełamały przeszkody i uratowały uchodźców prawie że w ostatniej chwili, bo w momencie, kiedy wojsko bolszewickie było od Owidiopola w odległości kilku zaledwie kilometrów. Zaczni ci rodacy nie opuścili dotąd gabinetu generała, dopóki on w ich oczach nie wydał telegraficznego zarządzenia przepuszczenia rapatryjantów. Razem przeszło ich 344, przyczem pierwsza partja (60 osób) przekroczyła granicę 9 lutego, a reszta

mimo dalej ujawniającej się niechęci lokalnych władz rumuńskich 11 lutego. Polscy uchodźcy w Akermanie dla przebycia kwarantanny zostali po części pomieszczeni na stacji w pociągu sanitarnym (57 osób), po części zaś w kilku punktach miasta jak w herbaciarni „Maraczesta“ (69 osób), szkole (187), herbaciarni „Birza“ (8) i hotelu „Europa“ (23). Prócz nich od trzech miesięcy znajdowało się w Akermanie 20 parobków stajennych z rodzinami przy 40 zarodowych koniach polskich ewakuowanych do Rosji w r. 1915, a teraz wracających do kraju. Kierował tą stacją rotmistrz Daszewski.

Wobec polskich uchodźców stosowały miejscowe władze rumuńskie jak najsurowsze przepisy. Mimo odbycia kwarantany traktowano ich wprost jak jeńców i zakazywano wychodzić na miasto dla zakupu żywności i innych sprawunków, również nie pozwalano na wyjazd do kraju pojedynczym osobom, mogącym ponieść kosztą podróży. To postępowanie władz stało w rażącej sprzeczności z nastrojami szerszych warstw ludności, która po obu stronach I manę była równie życzliwą uchodźcom. Specjalnie w Bessarabji pospieszyli z bezinteresowną pomocą, a mianowicie z produktami spożywczymi, koloniści niemieccy, wśród których na wymienienie zasługuje organizator tej akcji sołtys Gotfried Szulc z gminy Postalskiej, wsi Aizowki.

Innym dowodem niezmiernej bezwzględności miejscowych władz rumuńskich, dotyczącym jednak już nie Polaków, lecz Rosjan, było potraktowanie odeskiej szkoły kadetów, która uchodząc przed bolszewikami, próbowała się schronić do Rumunii. Dzieci w liczbie 310 wraz z 59 nauczycielami i ich rodzinami przeszły przez lód limanu i zrazu wpuszczone zostały nawet do Akermanu. Wnet jednak wydano zarządzenie wyrzucenia ich z powrotem na brzeg ro-

syjski. Dyrektor szkoły, pułkownik Bernacki, szukając ratunku, zwrócił się wtedy w imieniu młodzieży całego zakładu i grona nauczycielskiego do delegata Mikułowskiego z prośbą o ryczałtowe użyczenie nieszczęśliwym obywatelstwa polskiego a wraz z tem i opieki. Rzecz prosta, że co do obywatelstwa spotkał się z odmową, niemniej jednak Mikułowski czynił wszystko, co mógł, aby przyjść z pomocą skazanej na zatrąę młodzieży i jej wychowawcom. Prawdopodobnie jego to depeozom slanyin do Bukaresztu, zwłaszcza do Głównego Zarządu Rumuńskiego Czerwonego Krzyża, a zdaje się także i do królowej rumuńskiej, przypisać należy, że wreszcie przyszło pozwolenie na internowanie dzieci i nauczycieli. Objętych tą łaską było już jednak niewielu, gdyż przeważna część wyginęła tymczasem od mrozu, głodu i zmęczenia w nadbrzeżnem sitowiu na brzegu rosyjskim, nie chcąc dostać się w ręce mordujących band bolszewickich, a nie śmiejąc postąpić naprzód ze względu na strzały patroli rumuńskich.

Skoro już jest mowa o Akermanie dodam i to, że gdy najważniejsza część zadania, związanego z rapatrjacją, była wykonana, a nawet po odbyciu przez uchodźców kwarantanny, dnia 17 lutego zjawił się nad limanem urzędnik wschodniej misji dla spraw JUR, niejaki Wagner i bez wszelkiego porozumienia się z przedstawicielem konsulatu polskiego zabrał się do nietrudnego zadania załadowania rapatrjantów do wagonów i odsyłki ich do kraju. Uwiadomiony o tem przez Mikułowskiego natychmiast poleciłem dać pole Wagnerowi i usunąć się, tem więcej, że ów wysłannik misji oświadczył władzom rumuńskim, że w sprawach rapatrjacji tylko on jest kompetentnym, a wszelkie inne miejscowe czynniki polskie nie powinny być respektowane.

Szkoda tylko, że wysłannika misji spotkali rapatrjanci tak późno na bezpiecznym gruncie rumuńskim, a nie wcześniej w Rosji, lub w ciężkich momentach wzbranianej naszym rodakom przeprawy przez lody szerokiego limanu.

Pociągami sanitarnym, zajęтым już zresztą przez uchodźców, dobili oni do Galacu, o czym mówiłem już wyżej.

Kończąc moje opowiadanie o sprawach i zdarzeniach, których byłem świadkiem na południu Rosji pamiętnej zimy 1919/20 r., nie mogę nie dodać jeszcze kilku słów o tem, co wiem na podstawie złożonych mi urzędowych raportów o samym momencie wejścia bolszewików do Odesy i wyjścia stamtąd tych Polaków, którzy pozostawszy z różnych przyczyn dłużej na miejscu, próbowali ocalić się drogą morską. Głównym informatorem jest tutaj były sekretarz konsulatu w Odesie Felks Przybylski, pozostawiony tam wraz z dzielnym komendantem etapu przy konsulacie, porucznikiem Stanisławem Kośkim, kilku osobami z kancelarji i 10 żołnierzami ze straży konsularnej. Nie mając już żadnych archiwów lub aktów do wywożenia, mogli oni względnie dość łatwo nawet w pojedynkę każdej chwili opuścić miasto i według otrzymanych instrukcji udać się albo drogą morską albo do Ow diopola, a stamtąd do Akermanu, o ileby rzecz jasna jakieś nadzwyczajne wypadki nie pokrzyżowały im ich planów. W każdym razie pozostanie kilku osób w konsulacie, na co zresztą same one nalegały, po części ze względu na pewne interesy osobiste, posiadało to praktyczne znaczenie, iż kolonja polska do ostatniej chwili otoczona była opieką konsularną¹⁾. Nie dało to,

¹⁾ Od chwili wyjazdu z Odesy wszystkich urzędników konsularnych opiekę nad tamtejszą kolonją polską miało przejąć ustanowione przezemnie „Kollegium dla spraw polskich“, złożone z najdzielniejszych miejsco-

rzecz prosta efektu równego działającym ciągle jeszcze na miejscu misjom wojskowym państw innych, czującym za sobą stojące w porcie pancerniki, w tamtejszych przecież warunkach, przy zupełnem opuszczeniu Polonji czarnomorskiej przez nasz rząd, było to dużo. Gdy wojskowe misje sojusznicze (amerykańska, angielska, francuska i włoska), bo z konsulatów z wyjątkiem angielskiego nie było już i śladu, mogły się być czuć całkiem bezpiecznie na swych statkach, biuro naszej placówki otoczone tłumem interesentów, urzędowało w dniu 3, 4, 5 i 6 lutego przy ulicy Sofijskiej, przerywając swe czynności dopiero 7 lutego, kiedy cała Odesa wpadła już w ręce bolszewików. Toż samo czyniło ono do ostatniej chwili wszelkie usiłowania, zmierzające do tego, aby jak największej ilości Polaków umożliwić wyjazd morzem. Chodziło o to, aby dojść do ostatecznego porozumienia z amerykańską misją Czerwonego Krzyża, zajmującą się ewakuacją uchodźców, w tem również i Polaków, o co prosiłem osobiście jeszcze za swojej bytności w Odesie jej kierownica Erwina, aby dostać węgiel dla wynajętego przezemnie swego czasu statku „Generała Brusilowa“²⁾ przy równoczesnem wydobyciu go z lodów na rejd, aby zdobyć pewną ilość miejsc na statkach angielskich, aby wreszcie dla sprawy ewakuacji Polaków przejednać nawet jeszcze mniej chętnych nam od Anglików Włochów. I rzeczywiście w ostatniej chwili, t. j. 7 lutego rano oddane zostało Polakom przez dowództwo włoskie kilkanaście miejsc na odpływającym statku „Palacky“ z linii „Lloyd Triestino“, ale wobec walk, jakie ogarnęły już całą Odesę było

wych działaczy, którzy zbyt związani z środowiskiem odeskim nie chcieli i nie mogli je pod żadnym warunkiem opuścić.

²⁾ Anglicy pozwolili na załadowanie 60 ton węgla.

to bezcelowem, gdyż nikt z miasta nie mógł już przedostać się do portu. Na angielskim natomiast statku „Rio Negro“ z grupą kilku oficerów polskich i kilku żołnierzami straży konsularnej, opuścił Odese Przybylski. Nasza zamierająca placówka odeska nie wypuściła też do ostatniej chwili ze swej opieki Łotyszów i tych obywateli państw innych, którzy pod tą opieką się znajdowali.

Posłuchajmy jednak, co mówi sam Przybylski:

„Już trzeciego lutego, a jeszcze bardziej czwartego, zaczęły się rozruchy w mieście, z początku na przedmieściach Mołdowance i Perysypie, gdzie z ukrycia wystrzeliwano oficerów Armji Ochotniczej, na co ochotnicy odpowiedziel, pogromem żydów na przedmieściach dnia 5 lutego. Tegoż dnia wieczorem nastąpiła pośpieszna ucieczka z miasta przeważnej części oddziałów ochotniczych w różnych kierunkach, a rozprężenie ogólne doszło do punktu kulminacyjnego, tak, iż gdy np. ja z radcą prawnym konsulatu Mroczkowskim wracaliśmy z misji amerykańskiej, koło godziny 8-mej wieczorem w centrum miasta zostaliśmy napadnięci w najbrutalniejszy sposób przez patrol oficerów uchodzącej Armji Ochotniczej, który chciał nas obrażować i zdołaliśmy się obronić tylko tem, iż powiedzieliśmy, że jesteśmy przedstawicielami konsulatu polskiego³⁾).

³⁾ Jeszcze więcej rażącym był postępek oficerów Armji Ochotniczej opisany przez urzędnika konsulatu Witolda Korsaka, który na przedmieściu Odesy, w domu pułkownika Feona został dnia 5 lutego o godz. 5 rano opanowany wraz z całą grupą uchodźców wybierających się do Owiutopola. Wszystkich aresztowano na podstawie rozkazu naczelnika garnizonu pułkownika Stessla i traktując jak najgorzej obrażowano z gotówki i preciozów. Byli tacy, których złupiono na 20 000. — angielskich funtów. Jeaynie tylko Korsaka jako legitymu-

Wreszcie 6-go władzę w mieście mieli obejmować Galicjanie (Haliczanie), jawnie wrogo względem Polaków usposobieni, co zresztą odrazu przy pierwszym zjawieniu się swem w Odesie zaznaczyli, zajmując nasze biura paszportowe przy ulicy Gogola.

Z wszystkiego widać było, iż niebezpieczeństwo wojenne jest już bezpośrednie, ale wszyscy byliśmy przekonani, że jeszcze jakie dwa lub trzy dni potrwa, zanim wkroczą tu wojska sowieckie z respektu dla okrętowych armat Ententy. Jednak, gdy od godziny 6-tej wieczorem dnia 6 lutego zaczęły grzmieć najcięższe działa z wielkich pancerników angielskich „Ajaks“ i „Malboro“, które stały przed portem, stało się jasnym, że bolszewicy są już u rogatek miasta i że lada chwila podniesie się ostateczny i najgroźniejszy rozruch miejscowych ich zwolenników⁴⁾. Wobec tego na noc z 6 na 7-go lutego w lokalu konsulatu przy ulicy Sofijskiej porucznik Kosecki, jako komendant pozostawionego przez konsula oddziału straży konsularnej, skonsgnował go w całości. Ponad to zebrało się tam jeszcze paru oficerów Polaków, Mieczysław Grzybowski z towarzystwa „Pol.—Rus“ i ja. O godzinie 12-iej w nocy otrzymałem wiadomość, iż misja angielska, która miała zostawać do o-

łającego się swoim charakterem urzędnika konsulatu nie obrabowano. ³⁾ opieraniu się rabusiom nie było mowy gdyż oficerów i żołnierzy biorących udział w tej wyprawie, a przybyłych na samochodach, było do 500. —

⁴⁾ W tym miejscu myli się nieco Przybyłski. Obstrzał dostępu do Odesy w stronie przedmieścia Peresyp dokonywały trzy okręty angielskie. Wynik tego ognia był jednak mniej szkodliwym dla bolszewików niż dla resztek Armii Ochotniczej, które mocno zostały przetrzebione. Piechota bolszewicka zdaje się nic nie ucierpiała. Na nie wiele też zdał się desant angielskiej piechoty w liczbie 700 ludzi, która miała od strony lądu wstrzymywać napór bolszewików. Zdaje się że bez boju wycofana została na okręty.

statka, wybiera się do portu. Natychmiast posłałem jej spis znanych mi i mających tę lub ową styczność z konsulem 50 osób z prośbą o zatwierdzenie im prawa przejazdu na statku angielskim. O godzinie 3-ej w nocy otrzymałem listę z wizą angielską, uprawniającą do korzystania ze statków. Też w nocy zlikwidowałem i zapakowałem wszystko, co jeszcze pozostało z kancelarii konsulatu, napisałem dłuższy list z instrukcją dla Komitetu Społecznego (kollegium dla spraw polskich), który zgodnie z myślą konsula Srokowskiego miał po moim wyjeździe zastępować konsulat, wreszcie poleciłem opiece komitetu cały pozostały w zupełnym porządku w lokalu konsulatu inwentarz biura. O pozostawionych instrukcjach wspomniałem komendantowi Koseckiemu, który miał pozostać w lokalu konsulatu do ostatniej możliwości, ewentualnie widzieć się z którymś z członków Komitetu Społecznego, jeżeliby ktoś nadszedł.

O godzinie 7-ej rano w sobotę 7 lutego wyszliśmy z lokalu konsulatu w porządku bojowym, mając rzeczy naładowane na wózku, z bronią gotową do strzału i w 9 osób ruszyliśmy do portu. Po drodze, przy końcu zjazdu do portu, t. zw. Wojennego, byliśmy ostrzeliwani z domów. W porcie z początku mieliśmy jeszcze zamiar wyjechać na „Brusiłowie“, gdy jednak widocznem się stało, iż wskutek unieruchomienia przez lody, statek ten nie wyruszy, byliśmy zmuszeni już w czasie bitwy, która rozpoczęła się na samem pobrzeżu między resztkami wojsk ochotniczych a bolszewikami, napierającymi długą linią z góry od strony bulwaru Mikołajewskiego, parku Aleksandrowskiego oraz od przedmieścia Peresypu, o godzinie 12-ej w południe wejść na statek angielski „Rio Negro“. Opuścił on Odese nazajutrz w niedzielę, dnia 8 lutego. Wraz ze mną wyjechało z pozostawionego w

konsulacie oddziału straży konsularnej (z 10, potem 11 ludzi) 6 osób. Byli to poruczn. Wesolucha, porucznik Wojtkiewicz i żołnierze Reicheld, Lutostański, Szumski i Jakubielski. Trzech ludzi pozostało z komendantem Koseckim do ostatniej chwili w konsulacie, a dwóch byłem zmuszony wysłać już z portu wśród gradu kul, jednego, aby zawezwać komendanta do pośpieszenia się na angielski statek, drugiego zaś z takim samym wezwaniem do radcy prawnego konsulatu Mroczkowskiego. Obaj ci żołnierze, jak i grupa z komendantem Koseckim nie dostała się już jednak na „Rio - Negro”. Widocznie nie zdołali wydobyć się z miasta do chwili odbicia statku od brzegu. Losy ich prócz komendanta Koseckiego są mi nieznane. O komendancie Koseckim wiem, iż widziano go z naszego statku już w porcie na brzegu, a dalej jest mi na pewno wiadome od osoby, która z nim jechała (Dolanowskiego), iż wyjechał na statek rosyjskim do Sebastopola, a stamtąd do Warny. Z kolonii polskiej, a właściwie jej resztek, pozostałych po ogromnej emigracji, wypadającej na ostatnie miesiące, niestety zdaje się niewielu potrafiło opuścić Odeseę. Wyjechali ci, co zdołali się dostać na statki angielskie lub rosyjskie. Nader szeroko zakrojona ewakuacja ludności i instytucji nawet rządowych, ogłoszona przez misję amerykańską dała bardzo małe rezultaty. Dzięki misji wyjechała znikoma tylko ilość ludzi. Stało się to, o ile mi wiadomo, na jedynym zaledwie statku, który pod flagą amerykańską w dniu ewakuacji wyszedł z Odesy, tj. na „Nawacho”.

Na okręcie angielskim całemu oddziałowi straży konsularnej odebrano broń. Miano nam ją zwrócić przy wylądowaniu, lecz tego nie uczyniono. Ostateczne starania o nią robiłem z

Belgradu przez tamtejszego polskiego attaché wojskowego, ale nie znam ich skutku.

Warunki podróży na statku były nader ciężkie wobec strasznego przepelnienia go przez emigrantów rosyjskich i nieodpowiedniości pomieszczeń pasażerskich. Z początku miano dowieść nas do Warny, lecz w drodze rozkazy zostały zmienione i pojechaliśmy do Konstantynopola. Tam staliśmy dwa dni, podczas których robiłem wszystkie możliwe zabiegi co do zniesienia się z poselstwem polskiem, by przy jego pomocy wysiąść na ląd i wyjechać krótszą drogą do Polski. Jednak mi się to nie udało i na trzeci dzień 11 lutego, statek wyruszył w dalszą drogę do Salonik, gdzie stanęliśmy rano 14-ego. Stąd wysłano moją grupę razem z transportem Rosjan z tegoż statku w zamkniętych wagonach towarowych do Belgradu, dokąd przybyliśmy po 3 dniach jazdy koleją dnia 16-go nad wieczorem. Tu już przy uprzejmej i skutecznej pomocy poselstwa i naszego attaché wojskowego udało mi się oddzielić mych towarzyszy od transportu Rosjan, wysyłanych dalej Dunajem do Panczewa. W Belgradzie przebyła grupa, którą wywiozłem z Odesy, 5 dni w oczekiwaniu na nasze rzeczy, pozostałe w Salonikach. Nareszcie po przybyciu bagaży i po wypłaceniu z tytułu przy należności do straży konsularnej wszystkim sześciu ich gaży za luty, wysłałem mych towarzyszy 21 lutego do Warszawy w oddzielnym wagonie przez Zagrzeb i Wiedeń“

Tyle Przybylski, który 7 lutego wszedł na pokład „Rio-Negro“.

Z innych źródeł wiem, że w niedzielę 8 lutego opuścili miasto ostatni jego rzekomi obrońcy, a mianowicie oddział ukraiński pułkownika Struga, kierując się zrazu na zachód ku Owidiopolowi, a potem na północ na Majaki. Wiódł on z sobą olbrzymi tabor i był zorganizowany zu-

pełnie niedbale, wskutek czego też nie przedstawił żadnej wartości bojowej. Ścigany przez bolszewików dostał się pod Majakami w ogień ich artylerji, a gdy usiłował przejść Dniestr po lodzie, także w ogień artylerji rumuńskiej, strze lającej od strony wsi Palanka. Części tego od działu i masa publiczności cywilnej, która z nim wyszła z Odesy, przesiedziała 2 dni na silnym mrozie w sitowiu, wskutek czego ogromnie wie le ludzi i koni zamarzło. Ostatecznie pułkownik Strug oddział porzucił i znikł w niewiadomym kierunku. W tym czasie 366 pułk piechoty bol szewickiej zmierzał ku Owidjopolowi a 367 ku Tyraspolowi, gdzie już formowały się 2 bandy, jedna pod dowództwem znanego rzezimieszka Katowskiego (700 ludzi, głównie konnych), a druga Koleśnikowa (300 ludzi). Dnia 11 lutego, gdzieś między Rozdzielną a Koczurganami zaatakowały te bandy resztki rozbitków denikinowskich i oddziały Galicjan. Huk wystrzałów do chodził aż do naszej przeprawy pod Warnicą. Oddziały bandytów z pewną ilością regularnych wojsk bolszewickich spiesznym marszem dotar ły następnego dnia wieczorem do Dniestru pod Parkanami i Warnicą, ale Polaków i ich бага ży, o co najwięcej chodziło, już nie zastały. Nie omieszkały swojego niezadowolenia z tego po wodu wypowiedzieć pod adresem Rumunów, którzy nam to ze strony oficjalnej zakomunikowa li i wymordowały pozostała w naszym pocią gu ewakuacyjnym rosyjską obsługę techniczną. O tem pisałem już jednak wyżej.

Margonin, w kwietniu 1925.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAŃ
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat, 72
Tel. 26-68-83



F
18956